

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II

Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 3 listopada 1946

Nr 38 (49)

Jadwiga Żylińska

W szkole współczucia

Latem br. została otwarta w Londynie wystawa, urządzona staraniem Sekcji Informacji przy „Control Commission of Germany”. Pokaz zaczyna się od rzeźby, przedstawiającej grupę „Displaced Persons” na tle ruin, pogrążonych w przyćmionym, czerwonym świetle. Jaśniejsza plama w końcu pokoju oświetla złamane emblematy orła i swastyki. Z daleką dochodzą dźwięki muzyki „z „Götterdämmerung”. Następny pokój jest zawieszony fotografiami przywódców Nazi, obrazem zwłok Himmlera na miejscu naczelnym i z jego maską pośmiertną, specjalnie iluminowaną. Po tej ilustracji całkowitej katastrofy i zagłady Trzeciej Rzeszy, dalsze pokoje wystawy przedstawiają stopniowe podnoszenie się z upadku narodu niemieckiego. Wykresy, fotografie i mapy informują o trudnościach, z jakimi walczy komisja angielska w okupowanej przez siebie strefie Niemiec i podają rezultaty jej działalności. W jednym pokoju umieszczono tygodniową rację żywnościową, wydawaną w Niemczech obok racji angielskiej. To porównanie ma przekonać gospodynię angielską, jak małe są jej własne ograniczenia żywnościowe w porównaniu z brakami panującymi w Niemczech. Wreszcie mapa terytorium niemieckiego „z wysuniętą pozycją nowej granicy polskiej” nasuwa angielskiemu publicyście, Haroldowi Nicholson, refleksję, że „nowa granica narzucona Niemcom będzie miała konsekwencje równie trwałe i tragiczne, jak granica ustalona A. D. 9 po klęsce Varusa za panowania cesarza Augusta” (The Spectator, June 28).

Wystawa na Oxford Street wprowadza nas od razu w centrum spraw niemieckich, widzianych od strony Wielkiej Brytanii i dlatego od niej sprawozdanie moje rozpoczęłam. Wystawa ta jest końcową fazą przemiany nastrojów Wielkiej Brytanii w stosunku do Niemiec, której kolejne etapy przedstawiają artykuły, rozrzucone w prasie angielskiej na przestrzeni ostatniego roku.

Na początku br. prasa angielska interesowała się przede wszystkim stroną ekonomiczną w okupowanej strefie Niemiec. „How much Steel?”, „Germany's Economic Future” — oto pierwsze z brzęgu nagłówki artykułów, traktujących o problemach niemieckich z „Tribune”, „The Spectator”, „Statesman and Nation” w miesiącu lutym. Naczelną troską Anglii było wtenczas uruchomienie przemysłu niemieckiego na tyle, aby Niemcy mogli opłacić importowaną do nich żywność i surowce.

Debata budżetowa w miesiącu kwietniu informuje, że w rezultacie okupacja w Niemczech będzie kosztowała Anglię w ciągu następnych dwunastu miesięcy ośm milionów funtów (Tribune, April 1946). W związku z problemami gospodarczymi prasa angielska porusza zagadnienie reform, przeprowadzonych w strefie sowieckiej. „Time and Tide” z lutego 23 sugeruje, że reforma rolna jest jedynie środkiem do późniejszej kolektywizacji i nieprzychylnie komentuje działalność związków zawodowych. Zarzuca również propagandzie komunistycznej dążenie „nie tylko do unii pomiędzy socjalistyczną i komunistyczną partią, ale do zjednoczenia politycznego Niemiec”, co jest tym dziwniejsze — ciągnie dalej — że jedność ta została rozerwana, gdyż Królewiec jest przyłączony do Rosji, a „miasta jak Wrocław, Frankfurt n/Odrą i Szczecin i Gdańsk zostały polskie”. Ze swej strony możemy dodać, że użycie zwrotu „zostały polskie” w odniesieniu do Gdańska, o

którego przynależność do Polski rzekomo wybuchła wojna — jest jeszcze dziwniejsze.

Ale w parę miesięcy po wszystkich uwagach na temat dążeń komunistów niemieckich w strefie sowieckiej, prasa angielska, jakby nigdy nic, zaczyna się domagać jedności gospodarczej Niemiec i wyraża swoje niezadowolenie z tego, że ZSRR, któremu przypadły rolnicze partie, nie chce na to przystać. Tymczasem sprawy gospodarcze i polityczne komplikują się w strefie brytyjskiej coraz bardziej. Partie polityczne zaczynają rozwijać również swoją działalność, lecz korespondent „Statesman and Nation” z 20 kwietnia stwierdza, że nikt nie będzie się interesował programami demokratycznymi dr Schumachera, o ile nie poprawią się stosunki aprowizacyjne. I chociaż „Reforma Rolna nie jest tak ważna na Zachodzie, jak w Prusach Wschodnich, w Brandenburgii i na Pomorzu, jest jednak dotychczas niespełnionym życzeniem wszystkich socjalistów w Niemczech”. Ostatecznie więc „robotnicy w brytyjskiej strefie nie mają ani żywności, ani nadziei na niepodległość”. Obok reformy rolnej szeroko jest omawiana przez korespondentów angielskich reforma szkolna w strefie sowieckiej, a mianowicie wprowadzenie t. zw. „Einheitsschule”, bezpłatnej dla wszystkich dzieci w wieku od lat sześciu do czternastu. Program „Einheitsschule” jest o wiele wyższy, niż w szkole powszechnej i przewiduje, że jedynie pięć % dzieci uzyska stopień potrzebny do wyższych studiów. Dalszym ciągiem „Einheitsschule” jest czteroletnia szkoła „Secondary Education”. Przedstawia ona dwa typy: jeden specjalizuje się w łacinie, greckim, historii, filozofii i literaturze, drugi w językach nowożytnych, matematyce, naukach przyrodniczych, ekonomii. Nauczyciele niemieccy w strefie brytyjskiej, jakkolwiek często należą do socjaldemokratów, aprobują reformę szkolną, zaprowadzoną w strefie sowieckiej i domagają się „Einheitsschule” w strefie angielskiej. Reportaż James'a Warburga członka amerykańskiego instytutu „Brains Trust” potwierdza również, że reformy, przeprowadzone w strefie radzieckiej, wykazują największą dążeń ideologicznej („Statesman and Nation”, August 10).

Anglicy dopiero teraz realizują fakt, że stosunek do Niemiec jak do kolonii przy jednoczesnej fraternizacji z niemieckimi „Fräuleins” stworzył sytuację nie tylko paradoksalną, ale poniżej ich godności narodowej. Oficerowie w swoich reportażach domagają się ustalenia jakiejś jednolitej linii postępowania w okupowanej strefie. Jeden z nich pisze: „Jeżeli żołnierz przybywa do pokonanego kraju z instynktem niszczyielskim, wkrótce ulega zepsuciu, obojętne do jakiej należy narodowości, jeżeli jednak przychodzi tam z poczuciem swojej misji, i z oddaniem dla swoich zadań, jakkolwiek może nie uniknąć demoralizacji, jednak będzie mniej podatny na złe wpływy, a więcej zainteresowany swoją działalnością”. („Statesman and Nation”, August 3). Zaczynają więc Anglicy rezygnować z podstawy zdobywców i szukają nowej płaszczyzny dla swoich relacji z Niemcami. Tą nową płaszczyzną ma stać się przede wszystkim co raz bardziej w Anglii rozpowszechniane przekonanie, że za działalność Niemiec hitlerowskich nie może ponosić odpowiedzialności cały naród niemiecki. Dopomagają do tego liczne przedwojenne kontakty Anglików z Niemcami.

„Nie mogę uwierzyć, ażeby każdy poszczególne Niemiec, gdzieby nie był i co by nie robił, ponosił odpowiedzialność za Buchenwald i Oświęcim” — pisze Harold Nicholson, wspominając o swoim przyjacielu Niemcu, stypendyście angielskim. A niejaka Miss Dorothy F. Buxton, w liście do redakcji (Spectator, May 17) traktuje nazizm jak gdyby był reżimem, narzuconym z zewnątrz, przez obce państwo: Któż z nas — pisze — jest pewien, że na ich (Niemców) miejscu wybrałby raczej śmierć? co do mnie, to dziwię się tylko, że tak wielka jest liczba Niemców, którzy nie cofnęli się przed prześladowaniem i karą śmierci”.

Współczucie dla narodu niemieckiego, którego wyrazem jest również wystawa londyńska, w kolejnych swoich fazach zamienia się w sympatie i szacunek. „Szacunek Anglików dla Niemców nie wynika tylko z uznania dla ich wartości bojowych i zdolności i gotowości do wypełniania rozkazów. Nie jest również wyłącznie rezultatem faktu, że znaczna liczba żołnierzy brytyjskich, wszystkich stopni, żyje szczęśliwie z niemieckimi dziewczętami. Lecz przede wszystkim jest szacunkiem dla zachowania się przeciętnej Niemca w przegranej” — pisze w swoim reportażu jeden z oficerów brytyjskich, stacjonowanych w Niemczech. Te i tym podobne artykuły w prasie angielskiej stanowią preludium do oficjalnej zmiany polityki wobec Niemiec.

Obecnie konserwatyści, którzy niedawno wprowadzenie racji chleba w Anglii (z powodu dostaw do Niemiec) potraktowali jako porażkę polityki Labour, domagają się odbudowy Niemiec. Ale sprawozdawca z posiedzenia w Izbie Gmin komentuje, że zmiana nastroju opozycji nie wynika bynajmniej z jej demokratycznej postawy i zupełnie nie sprzyja — co właściwie byłoby jedynym logicznym wnioskiem — ustaleniu jakiejś jednolitej ze Związkiem Radzieckim linii postępowania wobec Niemców, ale przeciwnie: „Gwałtowna germanofobia zmieniła się obecnie w równie gwałtowną chęć odbudowania Niemiec jedynie dlatego, że nasze stosunki z Rosją są niedobre” (Statesman and Nation, August 3). Tak więc odbudowa Niemiec w strefie angielskiej

Perspektywa

Odry

Chrześcijańska pamięć o zmarłych, tak żywa szczególnie w miesiącu listopadzie, musi się stać pamięcią ogólnonarodową. Ziemię, na których stanęliśmy wolną stopą, długo gromadziły prochy. Wróciliśmy tu przez pamięć o tych wszystkich umarłych i przez pamięć o nich ziemię tę zatrzymamy na zawsze.

Wspominamy wielkie rzesze Polaków tu urodzonych i w tej ich ziemi pochowanych. Czycy dziś na kartkach ksiązek i w świetlanych mowach ich wytrwałość i polskość. Wspominamy żołnierzy, bohaterów pracy narodowej, męczenników plebiscytowych Śląska Górnego oraz Warmii i Mazur, powstańców śląskich. Nie możemy odwrócić się od tej całej przeszłości, bo ona nas tu przywiodła z powrotem, bo to były pierwsze szczeble do dzisiejszej chwały narodu. Wspominamy polskiego i sowieckiego żołnierza, którzy w zakurczonym od śnieżnej zadymki marszu przynieśli tutaj wolność niewyzwolonym.

Ziemia gromadząca prochy tak obfite i przez tak długi okres czasu nie mogła dbać o mogiły. Cała ziemia stawała się mogiłą, nad całą ziemią chwiały się bolesny krzyż. Oczy nasze niewiele już tylko dostrzegą mogił, o których dłoń ludzka pamięta i przyroda chroni. Tym mogiłom należy się pamięć tym gorętsza, bo one są świadkami walk i symbolami narodowej chwały. Dziwna to maksyma: zwycięstwo w śmierci — ale zgodna z chrześcijańską wiarą w okoliczności leżące poza zasięgiem życia a dopomagające do zwycięstwa, zgodna z historią tej ziemi.

Nie wolno nam było stawiać pomników na tych ziemiach ale do grobów polskich pielgrzymowaliśmy tu wszyscy jak do najwspanialszych pomników. Tak być powinno dziś jeszcze, tak być powinno zawsze. Trud narodowy to łańcuch wielu tysięcy rąk, splecionych w uścisku. Żadne ogniwo w tym łańcuchu nie jest martwe, każdy umarły, który rękę swą spleta z naszą, jest w łańcuchu tym potrzebny i przez swoje istnienie, przez swoje polskie imię, przez swoje miejsce w historii tej ziemi — żywy.



W takich drewnianych kościółkach zachowała się na Śląsku polskość. Z tego polskiego kościółka drewnianego z Mikulczyc, przeniesionego później do parku miejskiego w Bytciu, usunięto przed wojną wszystkie polskie napisy, sztandary i obrazy. Nie zdołano jednak z niego wymazać — wiary.

Dml m 1072

ma służyć powstaniu bloku antysowieckiego.

Jeżeli postawę konserwatystów zestawi się z wprowadzeniem racji chlebowych przez Labour, dla ulżenia sytuacji żywnościowej w Niemczech, oczywistym staje się fakt, że w stronę Niemiec płynie z Anglii szeroki prąd życzliwości.

Niewątpliwie rasowo i obyczajowo Niemcy są Anglikom i Amerykanom na tyle pokrewni, że Anglosasi nigdy nie zgodzą się na rozpowszechnianie poglądu, jakoby zbrodnie nazizmu były pochodnymi natury niemieckiej.

Pogląd ten, z zupełnie innych powodów — jako godzący w podstawę jedności proletariatu — nie znajdował również uznania w Związku Radzieckim.

Jak słusznie zauważył Jerzy Zagórski, jedynie Francja i Polska są zgodne w

przełożeniu akcentu z nazizmu na niemieckie. Ale też Francja i Polska są krajami najbardziej zagrożonymi każdym wzrostem potęgi Niemiec, bez względu na to, po czyjej stronie się opowiedzą. Sąd Polski i Francji nie będzie jednak na pewno decydujący w rozstrzygnięciu przyszłości Niemiec, które co raz bardziej stają się terenem rozgrywek wielkich mocarstw.

Lecz, jeżeli Niemcy mają zostać odbudowane za zgodą jednego tylko mocarstwa, to naszą szansą jest ich miejsce w bloku angielskim, gdyż wówczas stają się niebezpieczne także dla Rosji, czyli czynią z Rosji naszego naturalnego sprzymierzeńca.

Sprawozdanie moje z prasy angielskiej o sprawach niemieckich zaczęłam od wystawy londyńskiej, na której między in-

nymi znajduje się mapa Niemiec z nową granicą niemiecko-polską i sprawą naszej granicy na zachodzie zamierzam też zakończyć. W artykule pt. „Europe's New Frontiers“ w „Spectator“ z 19 lipca, M. J. Bonn stwierdza: „The frontiers of Germany have not yet been fixed, but it is most unlikely that the Oder/Neisse line which gave Eastern Germany provisionally to Poland, will be changed“ („Granice Niemiec nie zostały jeszcze ustalone, lecz istnieje małe prawdopodobieństwo, ażeby linia Odra/Nysa, która dała wschodnie Niemcy prowizorycznie Polsce, uległa zmianie“). Jest także rzeczą nader wątpliwą — czytamy dalej — ażeby antagonizm niemiecko-polski zniknął, albo ażeby Rosja przystąpiła na jakiejś przesunięcia — —. Jak z wielu innych wypowiedzi, tak i z tej wynika ja-

sno, że sprawa antagonizmu polsko-niemieckiego, poparcie rosyjskie i racje ekonomiczne mają w polityce angielskiej znaczenie istotnych argumentów, a nie — jak mylnie nasza propaganda często sądzi — pojęcie Oświęcimia, Buchenwaldu i Majdanku. Powinniśmy sobie wreszcie zdać sprawę, że w rozmowach politycznych z Wielką Brytanią musimy posługiwać się nie tylko językiem angielskim, ale i terminologią z zakresu jej pojęć.

I jak słusznie napisał E. Osmańczyk o naszej pozycji w Europie nie zdecydował dziś krzywdy, których doznał, ale konkretne rezultaty naszej pracy.

A także sposób rozumowania, zbudowany na obiektywnej ocenie każdorazowej rzeczywistości, a nie na urazach psychicznych.

Ziemia odnalezionych przeznaczeń (5)

Stefan Sulima

Wdowa po bojowniku

To tutaj. Piętrowy domek w dzielnicy willowej, cofnięty nieco od ulicy, zaprasza do wnętrza przez uchyloną bramkę. Jakaś kobieta krząta się wewnątrz ogrodu, nie zwracając na nas uwagi.

— Czy tu mieszka p. Linkowa?

Krzając spojrzenie ślizga się po nas, zaczajając po drodze o plecaki.

— Cały parter zajmują — brzmi odpowiedź, niestety bez śladu... wileńskiego akcentu.



Regina Linkowa z córką.

Czyściutka kuchnia, do której zapukaliśmy, śmieje się do światła południowego słońca. Pod oknem siedzi staruszka, obok niej na zydelku, niemłoda już, druga kobieta. Ta staruszka to Regina Linkowa, wdowa po męczenniku sprawy narodowej na Mazurach. Jednym z tych, którzy wyrastali wysoko ponad głowy szarej zdeorientowanej masy, bo nie dali sobie wyrwać świadomości, że są synami innego jak, to w nich wmawiano, narodu. Bogumił Linka, którego postać zbliżył szerzej opinii dopiero właściwie Wańkowicz, wszedł do panteonu bojowników polskości krótką ale niezwykłą drogą. Gdy terror niemiecki rozszalał na wieś o plebiscycie w Prusach, udał się do dalekiego Paryża i wobec Wilsona i Focha oświadczył swą i swych współbraci polskości, prosząc o pomoc i opiekę. Wypisał tym wyrok śmierci w mściwych niemieckich sercach na siebie, a zemsty na swoją rodzinę. W styczniowy dzień, gdy w Szczytnie na wiecu ludowym miał otworzyć usta za powrotem do macierzy, dosięgnęły go bestialskie ciosy sierpacy, którzy byli narzędziami niemieckiej władzy. Po szczytach cierpienia wspiał się na stos ofiarny i stanął do szeregu z Ratajcakami i Mielęciami.

Wyblakły wzrok spływa po naszych postaciach, niby pieszczotliwe musnięcie dłoni. W starej kobiecie, która patrzy na nas, jest jakiś niezwykły czar i słoneczność, przebijające przez życzliwe i ciekawe zarazem spojrzenie. Przez blade oczy zdaje się przelewać nadmiar wdzięczności, niezrozumiały u kogoś, kogo życie było jednym pasmem cierpienia, ciosów i udręczeń, zasnutym mgłą wyplakanych łez. Po pełnych napięcia i upokorzenia chwilach, przeżytych u Liperta, spojrzenie to niesie odpężenie i ulgę, jak blask słoneczny rozpraszający powłokę burzowych chmur.

Pierwsze słowa tłumaczą pogodną, starczą radość:

— Jestem szczęśliwa. Już mam wolność teraz zagadać. Dobrze, że Pan Bóg wejrzał na nas starych.

Linkowa mówi gwarą, wolnym ale wyraźnym głosem. Znowu wyczuwam coś za tym językiem prostym i niewyszukanym; jakiś kryształowy monolit przekonania, taki, który można rozstrzaskać wraz z życiem, ale którego zarysować nie sposób. Pod tym względem jest ona nieodrodną córką swego ludu, który gdy świadom jest swego, obowiązków wobec wiary, języka, obyczajów i spuścizny przodków uważa za mus moralny, którego nic odwrócić nie jest w stanie, jak nic nie potrafi odwrócić porządku póz roku, ni praw natury.

Rozmowa obraca się koło przeszłości. Bez niej pogoda Linkowej jest niezrozumiała, jak niezrozumiały musi być tragizm innych, zagubionych i zakołowanych, dusz mazurskich.

Przez całe lata rzucona była, jak ów kamień na szaniec polskiego oporu przeciw niemieckiej przemocy, przez lata stała pod pręgierzem swych przekonań, przez lata była wyrzutkiem w państwie „bojaźni bożej“.

Jak pani przeżyła ostatnie lata?

Zadaje pytanie Linkowej, ale odpowiedzi zwykle będą wychodziły z ust córki. Staruszka będzie tylko kontrolować padające słowa, przytakiwać im, lub dodawać to, bez czego jej zdaniem odpowiedź jest niewyczerpująca.

— Po trzydziestu laty, gdy na skutek sztyku, musieliśmy oddać Wawrochy „na korce“, przenieśliśmy się do Wałów. Tam mieszkaliśmy do wojny. Dzierżawcy bardzo prędko przestali nam płacić należność, ale sprawiedliwości dla nas nie było. Prześladowano nas od dawna. Zaraz po plebiscycie skazano braci na długoletnie więzienie, a urzędnicy policyjni twierdzili otwarcie, że to za ojca, który jeździł do Paryża. Po wizycie Wańkowicza dokuczali szczególnie wytrwale nauczyciele, piętnując matkę za to, że rozmawiała z polskim pisarzem.

— ... i że mnie namalowali w polskiej księżce — dodaje Linkowa. Ale ja mówię, że nic o tym nie wiem czy namalowali czy nie — wyjaśnia z filuternym uśmiechem i ukrytym zadowoleniem.

— Ledwie wybuchła wojna, od razu zaczęli Niemcy poszukiwać braci. Jeden z nich pracował w Szczytnie w Związku Polaków, drugi u „gburów“. Drugiej czy trzeciej nocy po wybuchu wojny, wywrócili Niemcy w Wałach słupy przeznaczone pod instalację elektryczną i posadzili o to braci. Pierwszy nie czekał ani chwili i zawczasu uszedł przez granicę do Polski. Drugi wpadł im w ręce. Był to dzień radości dla Niemców, gdy dostali w swe ręce Linkowego syna. Zaciągnęli go w triumfie do karczmy na badanie. Gdy oświadczył, że po niemiecku mówi nie dość dobrze, by się bronić przed zarzutami i prosił o tłumacza, Niemcy uznali to za doskonały pretekst do obelg i bicia. Zaczęli go nieludzko katować...

— Ryczał jak nie człowiek — wtrąca się Linkowa z zadumą patrząc w okno.

Było to 4 września. Zabrali go potem do Szczytna, a stąd do obozu w Mauthausen. Drugi brat całą wojnę ukrywał się w Działdowszczyźnie i przetrwał szczęśliwie wojnę.

— Gdyby go byli sięgli, toby go byli na kawałki krajali — mówi staruszka.

— W czasie wojny wiodło nam się źle — ciągnie córka. Odmawiano nam przydziałów i zapomóg, a wójt, gdy mu o nas mówiono, odgrażał się, że noga jego nie przekroczy „tego polskiego progę“. Bez przekroczenia go uzyskanie pomocy było oczywiście niemożliwe.

W r. 1943 przyszła wiadomość o śmierci brata. Zakomunikowano ją matce w obecności szeregu ludzi. Chcieli mieć widowisko z naszego cierpienia. Żandarmi z urzędu pytali staruszkę o szczególne życzenia, czy przypadkiem nie życzy sobie, by za opłatą przysłano jej prochy syna.

Linkowa ożywia się w tym miejscu. Twarz jej tężeje i nabiera wyrazu zaciętości:

— Odeszlijcie te „asie“ (od niem. Asche) Hitlerowi — zawołałam. Niech zobaczy co narobił! — mówi staruszka. Wśród obecnych powstało zamieszanie. Jedni rozchodzili się pospiesznie, żandarmi i szowinisci zaczęli mi wygrażać i chcieli mnie aresztować.

— Ja się nie boję — odpowiedziałam. Ciało moje zabijecie, ale duszy nie potraficie! Wściekali się jeszcze jakiś czas, ale dali mi spokój.

— Tylko od tej chwili jeszcze bardziej odsunięto się od nas — ciągnie córka. Co jakiś czas posyłano matce prowokatorów z zapytaniem, co myśli o wyniku wojny. Odpowiadała dwuznacznie:

„Jak Bóg rozsądzi, tak i wypadnie“.

Staruszka uśmiecha się do nas znacząco. Zresztą już wkrótce co do wyniku wojny sami Niemcy zaczęli mieć obawy. — W maju 1944 r. wojna zbliżyła się do Wałów. Zagrały armaty i dom Linków padł ofiarą pożaru. Matka i córka znalazły się pod gołym niebem. Mimo krytycznej sytuacji i wspólnych nieszczęść nikt nie odważył się przyjąć pod swój dach dwóch zniedołężniałych „wywrotowców polskich“.

Wyjechały do Szczytna do krewnych. Ale wojna szła za nimi wielkimi krokami. Wkrótce ludność Szczytna została ewakuowana do Berlina i dwie samotne kobiety musiały udać się na dalszą tułaczkę. W tym miejscu Linkowa zabiera głos na dłużej. Mówi jak ciężko było opuszczać ojczystą ziemię i jak przykra dla niej była myśl, że najprzypuszczalnie nigdy jej już nie zobaczy.

W Berlinie czuła się bardzo źle. Po niemiecku nie mówiła zupełnie, rozumiała zaledwie poszczególne słowa.

— Choć tutaj trochę chwytałam, tam nie mogłam zrozumieć — skarży się. — Takie „gielgoty“ tam byli.

Naloty trwały dzień i noc. Szereg razy w ciągu doby trzeba było zbiegać kilka pięter, a potem windować się z trudem na górę.

— Chciałam do swoich stron, ale ani mówić z kim o tym nie było.

Głód i zimno doskwierały coraz dotkliwiej. Obie kobiety wychudyły i osłabły z wycieńczenia. W czasie jednego z nalotów, gdy pospiesznie schodziły do schronu, jakiś Niemiec potrafił staruszkę na schodach i kuframi złamał jej nogę.

Rozpoczęło się oblężenie Berlina, dni bez wypoczynku i możliwości wyjścia na światło dzienne.

— Myślałam, że już nie dożyję — mówi Linkowa tonem wyznania.

Z początkiem maja skończyły się działania wojenne. W Berlinie panował zamęt i głód. Obie cierpiały biedą i poniewierką, oraz tęskniły z niecierpliwością i strachem do chwili gdy się im uda wyrwać z tej obcej ziemi, na którą przemocą je przeniesiono. Najwięcej zaś dręczyła myśl czy wyniszczone ciała nie wypowiedzą posłuszeństwa w przeddzień spełnienia marzeń.

— Bóg naszykował takich ludków, że nadszpiekowanie byli dobrzy — mówi ze wzruszeniem Linkowa.

Zajął się nimi Związek Polaków, który wszczął starania o umożliwienie wyjazdu do Polski wdowie po bojowniku mazurskim, a na czas oczekiwania zapewnił środki do życia. Sprawa wyjazdu wlokła się długie miesiące. Wreszcie w lecie 1946 r. nadszedł upragniony dzień.

Matka i córka z rozczuleniem opowiadają o podróży, opiece władz i wojska, o troskliwości o wygodę, o serdeczności powitań. Na miejscu zajęły się nimi władze powiatowe. Wynalazy prowizoryczne na razie mieszkanie, zaopatrzyły w niezbędną żywność i fundusze.

— Nawet cejtunki mi przysyłają — stwierdza Linkowa z zadowoleniem.

Wywiązuje się jedyna w swym rodzaju rozmowa.

— Nie mówi się cejtunki, tylko gazetki — poprawia córka matkę.

Skarcona staruszka prosi wzrokiem o przebaczenie:

— U nas tak się dawniej mówiło, to i tak na nie pozywam. Ale teraz to już się nałożę — zapewnia z młodzieńczym optymizmem, który wywołuje ogólny wybuch śmiechu.

Gdybyż to wszędzie na tej ziemi ludzie myśleli z taką radością i ufnością w przyszłość. Gdybyż nadzieja i zapowiedź lepszych dni gasła w wspomnieniu złej przeszłości tak, jak je zaciera w pamięci staruszki Linkowej.

— Może nam pani teraz opowie jak to było w Szczytnie z śp. mężem?

Staruszka poważnieje. Odwraca białą głowę ku oknu i patrzy na plwające się w słońcu domy, jakby chciała przeniknąć ich mury i dotrzeć myślą na miejsce zbrodni, która zaciążyła na całym jej ciężkim życiu.

Wyręcza ją znowu córka:

— Był więc w Szczytnie — zaczyna mówić krótkimi, urwanymi zdaniami. 21. stycznia 1920 roku. Mieli być red. Jaroszyk i Zawisławski¹⁾ (1) działacze plebiscytowi), pojechali także ojciec.

W mieście wśród Niemców wrzało od wściekłości. Jako to na Mazurach, które uważali za „kaisertru“, pod bokiem ich władz ma się odbyć zbiorowa manifestacja na rzecz Polski? Sam Landrat kierował biegiem wypadków. Umówił bojówkę, wydał jedzenie i picie i nakazał „zbić Linkę, ale go nie zbijają“. Ponieważ bojówkarze nie znali ofiary, użył do pomocy renegata Mazucha z Wawroch, który miał wskazać Linkę napastnikom.

Sala była pełna ludzi, gdy Linka zajął miejsce za stołem przydziałnym. Mazuch zaczajony za drzwiami czekał na tę chwilę i dwukrotnie zaglądał na salę, by dojrzeć w tłumie skazańca. Za drugim razem do-

strzegł go i dał znać oprawcom. Uzbrojona banda, pijana alkoholem i szowinizmem wtargnęła na sygnał do sali, rozpoczynając od razu masakrę obecnych. Wszczął się popłoch i zamieszanie. Zebrani w pośpiechu opuszczali salę, rażeni przez rozwścieczonych bojówkarzy, unosząc w tłumie Linkę, który zmylił uwagę naganiacza Mazucha. Już był na ulicy gdy poznał go jakiś rzeźnik. W jednej chwili otoczyła go rozwścieczona zgraja oprawców.

— Bili go leżącego, a najbardziej w dołek — powiada córka. Gdyśmy go potem oglądały cały był czarniuchny. Miał pozrywane ścięgna i rany tłuczone na całym ciele. Z najwyższym trudem udało się go wyrwać z rąk tłumu i unieść do mieszkania Zawisławskich — tu zemdłał. Wezwany pośpiesznie lekarz stwierdził straszliwe pobicie i wewnętrzne obrażenia, zalecając spokój i jak najtroskliwszą pielęgnację chorego. Było to całkowicie niemożliwe do wykonania. Za oknami wylała tłuszcz, szukając z wściekłością ofiary, która się wymknęła z jej rąk. Była żądna krwi i mordu, bo tymczasem Landrat, na wieść o odbiciu Linki, wydał polecenie „bicia i zabicia“. Rozwścieczeni Niemcy grupami przebiegali miasto z zamiarem odnalezienia i osaczenia Linki. Trzymanie chorego w Szczytnie stawało się zwykłym szaleństwem. Po tygodniu ukrywania przeprowadziły go dwie kobiety przebranego przez pas posterunków i szpiclów. Przeszedł sianając się między trzymającymi go pod ramiona kobietami. Przewieziono męczennika do Wawroch w największej tajemnicy. Przez pewien czas nikt nie wiedział, że Linka znajduje się pod własnym dachem. Wkrótce jednak żandarmi wpadli na jego ślady. Poczęły się powtarzać nagłe, nieproszone policyjne wizyty, w czasie których chorego pośpiesznie chowano w komórce. Znowu sytuacja Linki, którego stan zdrowia uległ pogorszeniu, stała się nie do wytrzymania. Pozostawał szpital, jako jedyna możliwość leczenia nieszczęśliwca. Ale Linka wzdragał się na myśl o niemieckim szpitalu, prosił by go dano do polskiego i zapewniono mu polską opiekę. Przewieziono go do Olsztyna i oddano do katolickiej lecznicy. Niestety i tu nie było pewności, czy szowinizm nie dosięgnie chorego z załostony zawodowej nietykalności. Lekarze orzekli ni mniej ni więcej tylko raka, nie zważając na ogólne kontuzje, oświadczyli się za koniecznością operacji.

— Nigdy nie mogłam w to uwierzyć, by miał raka — stwierdza stanowczo Linkowa. — Nigdy się na nic nie skarżył.

Jednak operacja się odbyła. Podobno otwarto jamę brzuszną i zaszyto z powrotem z powodu beznadziejnego stanu. Jakaś „życzliwa“ ręka podać mu miała bezpośrednio po zabiegu alkohol do picia.

Do skonu temu człowiekowi, który od tygodni był cieniem, gasnącym w niemym cierpieniu, towarzyszyła jakaś napięta atmosfera. Naładowana jeśli już nie złą wolą, to na pewno uczuciami nienawiści, które zabijały mazurskiego męczennika tysiącem niedociągnięć i dziesiątkami byle jak spełnionych posług. Torturowano go

Z POEZJI CZESKIEJ

Rajmund Habrzina

Psalm chrapliwy

Chciałem Ci hymn swój zaśpiewać
Wieczny,

najpotężniejszym głosem,
przebacz, że w bezgranicznej nędzy
słowa me w bełkot urosły.

Chciałem Ci hymn swój zaśpiewać
Wieczny,

i sercem czytać najszczerzym,
przebacz, że straszna nienawiść
kała i zżera me wiersze.

Ziemia jak gwiazda chce płynąć
wiecznie,

pędzić, wirować wprzód,
lecz spójrz, na jej twarzy gnije
ohydny, szerniały wrzód.

Tysiące więźniów za drutem
koszą

podstępni wrogowie i źli,
popatrz jak na ich jatkach
w niewinnej śmierć brodzi krwi.

Tysiące żywych się czołga,
to obóz,

obóz im zabrał sen biały
spójrz półczłowiek z niego tylko
i bydlę na wpół stępałe

Chciałem Ci hymn swój zaśpiewać
Wieczny,

przed Twój położyć go tron
przebacz, że w krwi i męce
psalm ten chrapliwy ma ton.

Mauthausen.

Z czeskiego przełożył Antoni Brosz

Słońce się wstydem zaćmiło
i pierzchło,

pierzchło z miejsc barbarzyństwa i mąk,
spójrz, wróg się po trupach roztańczył
i żywych uśmierca w krąg.

Chciałem Ci hymn swój zaśpiewać
Wieczny,

przed Twój położyć go tron,
słyszysz, to klątwa tysięcy
w chrapliwy odzywa się ton.

I gdybyś dziś na świat przyszedł
Chryste,

krzyż by nie wyrósł na niebie,
wiedz, że trupiogłów - nadczołwiek
prądem by zabił Ciebie.

Gdybyś dziś na świat przyszedł,
Chryste,

sam biedny miłości służyć,
wiedz, że trupiogłów - nadczołwiek
pławiłby Cię w kałuży.

Gdybyś znów na świat przyszedł
Chryste,

grzechy zmyć cudem bożym
wiedz, że trupiogłów - nadczołwiek
strułby Cię gazem w komorze.

wierzyli, że umarł. Były głosy, że zarówno wieść o śmierci jak i sam pogrzeb były perfidną polską komedią, że Linka żyje i ukrywa się, aby tym gorliwiej krzyżować niemieckie plany plebiscytowe.

W pierwszy od razu dzień po pogrzebie mogiłę bojownika zdeptały mściwe kopyta.

— Może nawet rozkopywano grób, ażeby zobaczyć, czy na prawdę jego ciało w nim leży.

Rozmowa urywa się z westchnieniem. W kuchence robi się cicho, tylko muchy brzęczą pod sufitem, akompaniując ciszy. Staruszka patrzy w okno po raz któryś z rządu. Mam takie wrażenie, że to okno jest dla niej soczewką skupiającą jasne i ciemne promienie jej życia. I chyba się nie myli sądząc, że w nim dostrzeża ona swe ofiary okoloną aureolą tęczy odbłasków. Jej słowa, z jakimi zwraca się do nas, brzmią bowiem niespodziewanie:

I to przeżyłam. Gdyby teraz byli, toby się radowali. Ale i to nic. Dziś my się za nich radujemy. Przewycięzyliśmy liche czasy, a teraz się lepszych spodziewamy!

Pogodny uśmiech zamyka zwierzenia. Unoszę go jak wiatyk na drogę skarg, krzywd i zwątpień, z którymi na każdym kroku przyjdzie mi się stykać, aczkolwiek i z Linkową nie jest wszystko w zupełnym porządku. Zrobiono dla niej wiele prywatnie i z inicjatywy miejscowych władz, ale z końcem lata nawet sprawa jej stałego wreszcie mieszkania trafiała na jakieś poważne trudności. Pomoc, aczkolwiek wystarczająca, była jedynie doraźna, świadczona od wypadku do wypadku. Wdowie po bojowniku mazurskim i nieustraszonemu Polaku, nie zapewniono na razie żadnych stałych środków utrzymania. Na żadnej z list zasłużonych w różnych dziedzinach narodowego życia, stanowiących hold potomnych dla niedawnej przeszłości, nie widnieje nazwisko Reginy Linkowej.

Umieszczenie go na odpowiednim miejscu i zapewnienie jej spokojnej starości, jest sprawą nie cierpiącą zwłoki. Ten jasny uśmiech i dziecinna wiara w Polskę, jako źródło dobra i sprawiedliwości, który obnosi dziś z radością po swej małej kuchence, nie powinny zostać zamglone z winy zaniedbań społeczeństwa. Takich uśmiechów nie spotyka się w Prusach wiele. Widziałem tylko jedno okno, przez które tutejsze słońce świeci tak pięknie, że w dobrułliwy, sposób idealnie deformuje rzeczywistość.

To okno ma dla nas szczególną wartość.

Jest ono drogowskazem postępowania z tuziemcami i hojną obietnicą, urągającą wszelkim pesymistycznym prorocstwom. Jeśli tylko znajdują się „tacy ludkowie, którzy by niespodziewanie byli dobrzy“, łatwo będzie zerwać plugawą kurtynę, jaką przed oczyma ludu Mazurów i Warmii rozwiesił zbrodniczy szkodnik, zasłaniając nią prawdziwe oblicze Polski. Takie, jakiego wizję pieszczą wyblakłe oczy Reginy Linkowej za zwykłym kuchennym oknem i dzięki któremu pogodna radość zwycięża grozę przeżytych cierpień.

Wokoło Łużyc



Stary drewniany kościółek w Łużu, wsi położonej w b. pruskiej części Górnych Łużyc.



Jakub Bart-Ciszinski, największy poeta Łużyczan. Ur. 20. 1. 1856, zmarł 16. 10. 1909. Poezja jego, ubrana w piękną formę, budziła tęsknoty narodowe i rozślawiała imię małego narodu daleko poza granicami Łużyc.



Łużyckie reje, tańce narodowe, są ważnym elementem ludowej kultury. Mieranka Leszawic, recytatorka i gorąca propagatorka i odnowicielka narodowych tańców, ubrana w strój narodowy.



Ha widzu - si ptačata čabnyč.....

Drzeworyt Miercina Nowaka, pierwszego malarza łużycyjskiego i pisarza, ucznia Skoczylasa, wielkiego przyjaciela Polski i Pełaków.

Natalia Rolleczek

Sosny na żywicę

(Dokończenie)

Jurek włączył się jak pijany po lesie, chociaż nie tknął wódki. Oddał ją kolegom. — Deptali go wszyscy: Franek, Łęgocki, nawet ta Lipecka musiała drwić z niego w duchu... Litr wódki, jak kość uwieszonemu psu, a on, dureń, idiota stał jak krowa przed obiektywem, zamiast wyrwać i rzucić nim o pień...

Cała jego młodość roztrzaskała się tu o te sosny, jak gniazdo zrzucone z drzewa. Jurek przyciska mokrą twarz do mchu, do ziemi... Każdy dzień po kolei budzi się w nim i rzuca mu się do gardła... Słoty i chłód przenikający ciało, upał, który wypiekał strugi potu gryzącego plecy, stały pośpiech odtretwiąjący ramiona tak, że po pracy zwisały jak drewniane łupy i proch, proch zestrugiwanej kory, od którego wieczniewieki i łzawiły oczy, bo zarządzał im okularów, a te kradzione, wsia- kające w ręce urzędników nim dotarli do żywiczarzy, przydziały...

Jurek wróciwszy późno w nocy do domu, przewracał się na sienniku nie mogąc zasnąć.

Pociągi przelatywały z dudnieniem opętanego pośpiechu, wżerały się w noc, jak puszczone świdy. Zapalczywe i niepohamowane wybijały tajemnicę wrogich Jurkowi wysiłków: „Räder müssen rollen für den Sieg“...

W korycie swym drżał potok stalowej lawy, znacząc w ciemności odpryskami gwizdów, pojęciem i zachłystywaniem zduszonej pary. Jurek wsłuchuje się w nie w ciemności i czuje, że leży pod rozpędzonym żelazem, nie może podnieść głowy, aby nie uderzył o ciągnące pierścienie. Litery pisane kredą odpadają z wagonów i wklonowują się w pnie, jak białe, żywicowane blizny: „Räder müssen rollen für den Sieg“... — i oto drzewa zaczynają się zwałać, toczą się, zrastają w sone- nowę tratwy, tratwy zbijają się w morze pofalowanych pni. Jurek dyszy ciężko. Teraz sosny toczą się po nim i przyklejają do ciała żywicowanymi plamami...

Nazajutrz była niedziela. Jurek schodząc ze stryżku natknął się w podwórzu na Lipecką; zaczerwienił się i uklonił, nie patrząc na nią.

— Pan wychodzi? to doskonale, bo ja też, pójdziemy razem.

— Idę do przystanku — mruknął.

— A ja na przystanku — roześmiała się — niech pan zaczeka.

Sterczał więc na podwórzu, a pani kapitanowa pobiegła żywo, wpadła do domu, wreszcie wszedła z walizką.

Szedł obok niej w milczeniu drogą leśną.

Wiosna motała się już w gałęziach i puchach, giętki, wezbrany maj tłoczył żywicę spleoną brzegami nacięć, jak woda w przypływie przez muszle; w rowach i rozpadlinach musowało złocistozielone listowie, całe polany mieniły się w słońcu, zapach suchej, rozgrzanej kory odorzał jak cynamon. Jurek odkrył dopiero w tym lesie, że Lipecka umie chodzić jak młoda dziewczyna, z takim radosnym uniesieniem ramion i piersi, jakby wbiegała do wody na czubkach palców. Nagle wybuchnęła śmiechem.

— Pan jest jak idol z żywicy: ciemny, ponury i nic nie mówi, zupełnie jak fe- tysz!

Oczy chłopca zwróciły się na twarz kobiety i nie mogły się od niej oderwać... Słońce przesypywało się przez liście i złote jaszczurki pierzchały po czarnych, jak mokka włosach, drgały w oczach, ześlizgiwały po ciemnym jedwabiu sukni... Jurkowi zakręciło się w głowie. Lipecka wyglądała jak smagły strumień.

— Nie, to pani jest jak żywica — żywica, która się pieni — roześmiał się nagle i szczerze.

Rzuciła mu szybkie, uważne spojrzenie i przesunęła chłodnymi palcami po nagim przedramieniu chłopca.

— Zawsze taki zapracowany, nie ma czasu dla siebie?

Nie zdążył odpowiedzieć. Koło nich przejeżdżał powóz. Siedzący w nim Łęgocki zatrzymał stangreta i wyskoczył. Jurek zaambarasowany czekał na boku; o kilkanaście kroków rozmawiali tamci dwoje. Trwało to krótko; za chwilę Łęgocki wsiadł z powrotem i odjechał, a Lipecka powracała do Jurka z roześmianą twarzą. Wsunęła mu rękę pod ramię.

— O czym pan tak дума?

— Jak daleko mam jeszcze panią odpro- wadzić — odparł, zły na jej rozmowę z Łęgockim.

— To świetnie — roześmiała się — nie chce pan iść, więc siadajmy.

Zeszła z drogi i usiadła na trawie, opiera- jąc głowę o pień drzewa. Jurek zaskoczony nie wiedział, co ma robić. Wyciągnął

się na trawie i czuł, że mu jest głupio. Nie patrzył w stronę towarzyszek. Miał nad so- bą gałęzie poszczepiane niebem, jakby ktoś między liście powtykał krokusy. Jurek wymyślił to, nie chcąc przyznać głosu dzi- kiemu biciu serca, od którego aż bolały że- bra. Właściwie to on się chyba zaraz po- żegna i pójdzie... Nagle serce stanęło, jak zatrzaśnięte: Lipecka oparła mu głowę na piersiach i teraz śmiała się do niego z dołu rozchylonymi wargami. Jurek przyłgnął wzrokiem do jej twarzy, szyi i obnażonych zębów, uchylonych rzęs, do skóry matowo żarłowionej i cienkiej, na której mieniły się złotawe cienie. Powieki kobiety pod- niosły się: spojrzła na Jurka wilgotnym, czarnym polyskiem. Jurek stracił wszystko z oczu, wyciągnął rękę i położył dłoń na jej piersi. Cofnął ją zaraz jak ukłuty... krzyknął coś cicho, odwracając głowę.

Ramię Lipeckiej przygięło jego twarz ku sobie; skupionymi i radosnymi oczami pa- trzyła w ściągnięte rysy chłopaka.

— W sobotę będę wracać statkiem, niech pan mnie czeka na przystani przed połud- niem.

Podniosła się zaraz z ziemi i roześmiała lekko, odsuwając jego rękę, którą prze- sunął po jej śmigłych, smukłych nogach. Odeszła sama na przystanek. Jurek leżał z założonymi pod głowę rękami, nie ruszał się z miejsca. Serce mu bluzgotało, pod powiekami na cienkiej, jedwabnej skórze pierzchały wciąż złote jaszczurki.

Młody Pruchnicki żywicował niedbale, nie śpiąc się, za to denerwowały go uwagi nadleśnego. Przykłada ostrze do gładkiego jak kobiece kolano łyka i robił nacięcia z uczuciem, że w sobie samym po- głębia jakąś osobliwą szparę. Dręczył go niepokój, ale nie z powodu Lipeckiej; wspomnienie o niej zwinęło się w srebrną kulkę, która toczyła się lekko w jego dro- gach krwionośnych, jak odprysk rtęci. To sosny zaczynały go już przysięgać; w swo- im kornicznym dążeniu dotrzebił się już do jądra lasu. I tu dopiero, w tym rykowisku piennej wiosny, zwieńczonej na rosocza- czach twardych sosen poczuł się jakąś lar- wą zżerającą drewno. Ta myśl nie dawała mu spokoju.

Oto jest wieczór; szelest gałęzi rozciąga las i skupia. Jurek brnie z jednego żywego pierścienia w drugi jakby opadał na dno leśne, a kręgi sosen rozchodziły się do nie- wiadomego brzegu. Jurek siada i obejmuje kolana ramionami. Patrzy na drzewa.

Lipecka napewno by go nie zrozumiała: za trzy lata spłynie wszystka żywica i zo- stanie jałowe drewno, z którego, jak mówi Franek, trumien nawet robić nie warto, bo

robak je zaraz stoczy... Zresztą — co so- sny. To z nich tak ściągają żywicę. Po wojnie i oni wszyscy będą takim zwywo- wanym drzewem, nie na budowę zdrowego domu. Jurek myśli o swoich kolegach. — Trzymają się jak naznaczone sosny, które ciągną soki, a wykupuje z nich życie. On sam zaszedł w jakieś błędne koło, jakby pobłądził w mroku między pniami; niena- widzi tej roboty, a wykonuje ją jak wariat, za co dostaje premie od tych, którym by skoczył do gardła. Brzydzi się nią tak sa- mo, jak Łęgocki, który z niego drwi. Łę- gocki, którego kochanką jest pewnie Lipe- cka, śmiejącą się do Jurka gorącymi oczami. Chłopiec trzyma się za głowę, w której wre upał.

A noc rośnie jak grzybnia, spajając każ- dy otwór światła.

Jurek czuje się strasznie słaby, jakby dotknął samego dna leśnego i teraz leżał na nim cały ciężar tej głębi leśnej, po- przerastanej ziemią, liśćmi, igłami, zlepio- nej żywicy, poroślej kożuchem cienia. Od- dycha ciężko... Wokół niego jest coś, co niewidzialnie naciska, zamyka go coraz bardziej. Z góry spada plugawy wrzask wroni, chłopiec wdryga się. Za drzewem ktoś się porusza... Po chwili ochryple, przyciszony:

— Pan Jurek...

To głos Franka. — Palik jednym susem znajduje się koło Pruchnickiego, siada.

— Pan Jurek jeszcze w lesie?

— A jeszcze.

— Pan Jurek to się chycił całkiem nie dla siebie roboty.

— A niby co miałem robić? — odgryza się Jurek ze złością. Dotyka się niechcący ręki Palika i ogarnia go wstręt: ręka jest lekka, gorąca. W powietrzu jest parno.

A Palik wybucha:

— Jurek może mieć i zarobek sakra- mencki i nie się nie narobić, trzeba ino cisnąć to cholerskie żywiczarstwo.

— To do czego mam się zabrać? — Ju- rek nie poznaje własnego ochryplego głosu. Duszna, ziejająca upałem ciemność wysusza mu krtań.

Jest tu taki jeden interes, ino o tym, rozumie Jurek, nikomu ani pary. Są tu tacy, co przyjeżdżają za bimbrem; klawe- batiary! Jak im trzeba to kradną, ale za wódkę to płacili zawsze honorowo płacą. Czym Jurek chce: skóra, płótno, można i na ubranie się dorobić...

Jurek słucha i krew mu bije do głowy: Pośpieszny oddech Franka obsypuje go go- rącym popiołem.

Ubranie! on miał tylko zmianę żywicar- skich drelichów... Pokazać się raz w garni- turze, jak przyzwoity człowiek! — Ty słu-

chaj — zwrócił się gwałtownie do Palika i nagle coś mu odebrało głos: pomiędzy nim a Frankiem stała ciemność, gęsta, u- ruchoma, podobna do czarnej, skrzepłej żółci. Nie widział twarzy, ani rąk Palika, tylko głos tamtego ochryple skrzyża jak ocieranie narzędzia o korę, ciągnie go... Jurek wie, że nie powinien o nic pytać, każde słowo to pograżenie się w tym go- rącym czadzie.

— Ty, słuchaj — potarza drżącym gło- sem — kiedy ty do nich chodzisz? Ciem- ność pospiesza zaraz kuszeniem, które jest ustepliwe, niedbałe i przez to jeszcze bar- dziej może pociągające:

— Ja tam pana Jurka nie namawiam, ale iść tak dwa razy na tydzień, to sta- czy potem żyć na cały miesiąc.

— Cały miesiąc!...

Jurkowi galopowało w głowie... A on co- codzienna narowka do nocy, jęczmienny chleb... Teraz czuje, że za chwilę przegra. Powinien uciec... nie ma siły... sosny za- dławiały drogę.

Otwiera już usta, żeby powiedzieć „tak“, kiedy ciemność nagle pęka i tryska z niej:

— Jurek miałby to wszystko wszelako dobro, a wtedy to i dziewczęta inaczej patrzy na chłopca. Pan Jurek już jest taki, co swoją dziewczynę powinien mieć.

Jurek ostatnim wysiłkiem zrywa się.

— Jak samemu Frankowi tak dobrze, to poco mu nawiać mnie?

Franek milknie zakłopotany. Po chwili:

— Bo widzi pan Jurek, we dwóch się le- piej kalkuluje. Jąbam więcej zarobić i Ju- rek by dostał swoje.

— Jak Frankowi mało, to niech Franek przyjdzie do mnie, ja mu z wypłaty dołożę, a niech mi da spokój — wybucha Jurek z wściekłością, żalem — i czując, że już dłu- żej nie wytrzyma, nie potrafi się oprzeć, porywa się na oślep przed siebie, między sosny i biegnie kierowany białymi znakami, jakby pod ich ślepotą ukrywało się czujne, widne wszystkie oko.

Nazajutrz Maru postanowiła odwiedzić Lipecką. Wypadało to zrobić, skoro kapita- nowa była jakiś czas gościem Wilkowic. Tym samym mogła pokazać mężowi, że nic sobie nie robi z plotek o jego stosun- kach z tamtą. Korciło ją także, by przyjrzeć się temu Jurkowi. Wtedy w powozie miał jednak w sobie coś osobliwego, skoro Karol tak go zapamiętał od owej inspekcji w le- sie. W stosunku do Pruchnickiego nie miała żadnego niepokoju sumienia.

Widocznie chłopakowi dobrze się powo- dzi w żywiczarstwie, skoro Karol mówi że chłopakowi przysługuje podwyżka z propagandy.

Mieczysław Markowski

Ostatnie dni Karola Irzykowskiego

(W drugą rocznicę śmierci)

„Piękny śpiew wydaje się jakby się nigdy nie miał skończyć i jakby się nigdy nie mógł zacząć“.

(K. Irzykowski — Lżejszy kaliber)

12-go sierpnia 1944 roku Karol Irzykow- ski opuszczał Warszawę.

Przetrwałszy tu pamiętny wrzesień 1939 roku, przetrwałszy w ciężkich wa- runkach koszar okupacji, przetrwałszy wśród ciężkich przeżyć duchowych począ- tek powstania, opuszczał ją w warunkach, których nigdy się nie spodziewał.

Około 10-tej wieczorem tego dnia wy- szedł był z domu na rogu Raszynskiej i Filtrowej po to, by dwieście metrów dalej spotkać się z początkiem swego końca.

Ulica Raszynska jest ciemna i pusta. Zmęczone wiekiem nogi ostrożnie, po mac- ku szukają punktów oparcia w smutnej wędrowce. Wolno, krok za krokiem... I oto ułamek sekundy w którym stało się to wszystko. Oslepiający błysk elektrycznej latarki, nienawistny wrzask: Hände hoch! suchy trzask wystrzału i ostry ból. Wszyst- ko to jednocześnie. Irzykowski pada na bruk z przestrzeloną lewą nogą i traci przytomność.

Czyś ty pomyślał obcy żołnierzu i wro- gu, swastyką na wieczną hańbę napiętno- wany, jaką krzywdę nam wyrządziłeś tym jednym brutalnym naciśnięciem spustu?

Cała długa i ponura noc przepłynąć mu- siała po niebie nad Warszawą rozpiętym, by nieprzytomnego, osłabłego z upływu krwi pisarza dojrzał ktoś o szarym świcie, by można go było przetransportować na krótki pobyt do przygodnego punktu szpitalnego w Podkowie Leśnej. Później szpital w Milanówku. Lewa noga w gipsie. Na szyi dokuczliwy karbunkul. Osłabienie, chwile braku przytomności. Nie wiele osób przy łóżu chorego. Młodsza córka, szczu- pla garstka przyjaciół. Jarosław Iwaszkiewicz pomaga materialnie w miarę swych sił. Paweł Hulka - Laskowski zdobywszy wygodny wóz wysłał go wraz z pielęgniarkami do Milanówka, by przewieźć autora „Pałuby“ do szpitala Żyrardowskiego. Niestety ekspedycja nie jest w stanie wypełnić swego zadania. Irzykowski leży nie- przytomny, lekarz sprzeciwia się stanow- czo wszelkiej translokacji w tym stanie.

1 października Irzykowski korzystając z powrotu świadomości przystępuje do Sto- łu Pańskiego.

Nie bez zadowolenia pogłębia zdumie- nie rysujące się w oczach przybyłej ze Sta- rachowic młodszej córki Anny pytaniem: „I cóż ty na to?“

Nowa próba przewiezienia do Żyrardo- wa. Tym razem próba udana. Chorego oj- ca składa córka na wozie uzyskanym od kierownictwa Milanowskich Zakładów Je-

dwabniczych. Organizacji tego transportu patronuje Jarosław Iwaszkiewicz.

22 października Irzykowski jest w Ży- rardowskim Szpitalu Miejskim pod opie- ką dr. Jankowskiego.

Lekarze w sposób niedwuznaczny stwier- dzają stan beznadziejny. Twierdzą nawet, że wszelkie zabiegi straciły już jakikolwiek sens — mogą jedynie męczyć człowieka przy którym stoi śmierć. Przeważa pani Laskowska, mimo obowiązku dozoru chorego wówczas męża, usiłuje przekonać lekarzy, by nie przekreślali z góry życia, chce zmusić ich prośbą a gdy ta nie skut- kuje zatargiem — do zmiany stanowiska.

A chory tymczasem przechodzi w okres, w którym wyostrożona świadomość zmienia się co chwila w nieprzytomność. W mo- mentach świadomości rozmawiał z córką. Opowiada jej ostatnie dni pobytu w War- szawie. Opowiada o tym, jak złośliwy żoł- dak po nieudanej próbie zrabowania zegar- ka, zawiesił mu na kłamce od zewnątrz granat z przewidywaniem, iż w momen- cie otwarcia drzwi przez kogokolwiek wy- chodzącego z mieszkania...

Opowiada o jedynej większej z okresu okupacji pracy p. t. Mosty, o pracy którą latem 44-go roku (lipiec) kończył w Sta- rachowicach, a która, jak sam twierdził, stanowi kwintesencję jego życia. Opowia- da z entuzjazmem o wysłuchanych w ko- ściele św. Jakuba kazaniach ks. Salamu- chy, przy czym kończy zwykle słowami: „to był filozof“.

Opowiada o wielu, wielu sprawach i rze- czach. Jeden tylko temat był tabu: starsza córka Zofia. Irzykowski widział ją poraz ostatni w przeddzień wybuchu powstania (mieszkała w Warszawie na Miedzianej).

Maru zatrzasnęła furtkę i szła przez zachwaszczony ogródek, gdzie pasła się koza. Na podwórzu Łęgocka zetknęła się z Pruchnicką. Siwa główka na cienkiej szyjce i suchy kadłub okryty czarnym fartuchem robiły ją podobną do smutnej, chudej indyczki. Łęgocka wyciągnęła rękę na powitanie.

— Czy mogę się widzieć z kapitanową Lipecką?

— Pani Lipecka wyjechała tydzień temu, dzisiaj dopiero wróci.

Staruszka odpowiadała nerwowo, jej czerwone powieki migotały szybko. Łęgocka nie miała ochoty odchodzić, rozglądała się po podwórzu.

— Jakże się państwu powodzi teraz?

— Teraz? — powtórzyła powoli Pruchnicka — pani ma na myśli, od kiedy Juru poszedł żywicować?

Maru wprawdzie nie to miała na myśli, ale milcząca, zaś staruszka ciągnęła dalej łzawym głosem, potrząsając głową.

— Zmarnuje się nasz chłopak, cały dzień go w domu nie ma, a wieczór przychodzi taki zmęczony, że jeść nawet nie chce. Niech pani pomyśli: anginę przechodził a do roboty iść musiał.

Łęgocka czuła się nieswojo.

— I gdzie jest teraz bratanek?

Pruchnicka zwróciła na nią zmrużone oczy.

— Wyszedł zaraz rano, powinien niedługo przyjść, bo to już południe. Taka jestem czegoś niespokojna o niego...

Pruchnicka nie wyznała, że czysta koszula, o którą się Jurek awanturował ran niezwykła staranność, z jaką robił toaletę, wzbudziły w niej szereg podejrzeń i struszcę trzęsły się ręce, kiedy myślała, że Juru może mieć tajemnice, o które nawet nie może go zapytać.

Łęgocka żegnała się niezwykle uprzejmie.

— Mąż mówił mi, że komisja ma zamiar przyznać podwyżkę panu Jurkowi.

Pruchnicka milcząc odprowadzała ją do furtki.

Maru ta wizyta popsowała zupełnie humor.

W domu uniosła się na Karola, że nie daje naprawić resorów w powozie, a później musiała skarcić małą Zuzę za obgryzanie paznokci.

— Jak będziesz tak robić, to cię Niemcy zamkną za to.

Dziecko popatrzyło przerażone na matkę, chowając za siebie rączkę. Maru wyszła z pokoju. Jej natchniony energią głos słychać było za chwilę w kredensie, a Zuza wałęsała się bez celu, gdy nagle postyszała zgrzyt kół. Rzuciła się do okna.

Łęgocki siedział w kancelarii, kiedy otwary się drzwi i wpadła Zuza.

— Niech mi papa obetnie paznokcie — trzęsła się — oni tu zaraz będą!

Łęgocki wziął córeczkę na kolana.

— Kto tu będzie?

— Niemcy! Mama mówiła — szło chało dziecko — że Niemcy zabierają za obgryzanie paznokci... Niech papa zobaczy!

Zuza podnosi rączkę i patrzy z żałością na drobne ślady ząbków. Łęgocki roześmiał się.

— Więc żebyś już nie płakała, to i ja będę miał takie same. We dwoje damy sobie radę, co?

Oczy Zuzy wzniesione z ciekawością na ojca, patrzyły z zachwytem jak najdroższy papuncio przycinał sobie zębami jeden paznokieć za drugim.

— To papa się nie boi?

Nagle w przedpokoju rozległ się głos:

— Wo ist Herr Legocki?

Zuza z oczami pełnymi łez wskazała paluszkami na rękę ojca.

— Nic się nie bój — roześmiał się Łęgocki — schowam ją do kieszeni, a ty zmykaj do mamy.

Maru piła herbatę, kiedy Zuza wpadła, wołając od progu:

— Niech mama da prędko papie nożyczki, albo pilnik, bo wezmą papę, papa obgryził sobie paznokcie!...

Maru było już tego za dużo: musi odseparować Zuzę od ojca, bo Karol zepsuje ją zupełnie. Postawiła dziecko do kąta i Zuza trzęsła się od płaczu, powtarzając z łkaniem: Wezmą... wezmą papę...

W kancelarii Łęgocki stał, patrząc ze zdziwieniem na czterech urzędników policji.

— Na pańskim obszarze leśnym — wykladał jeden z nich sucho — popełniono kradzieży żywicy w rejonie Jerzego Pruchnickiego. Nadleśny notując rano nieobecność Pruchnickiego, stwierdził również, że jego beczka z żywicą jest otwarta i próżna. Wszystkie poszlaki, jak i poprzednia fałszywa gorliwość Pruchnickiego, wskazują na to, że to akt sabotażu i że winny działał w zмовie. Ponieważ pan, znający Pruchnickiego, który był pańskim robotnikiem, sam wykazał go do żywicowania, musimy więc zastosować do pana tę przykrą formalność, że zostanie pan zatrzymany chwilowo w śledztwie aż do znalezienia winowajcy.

Łęgocki milczał ogłuszony: on przez Jurka Pruchnickiego... koło odwróciło się i uderzyło w niego... Będę miał czas myśleć o tym w więzieniu — szarpnął się w sobie i czując wyciekające spojrzenia na sobie, przybrał ironiczno-ugrębnioną postawę.

— Panom, zdaje się spieszą? Jestem gotowy do stawienia się przed komisją, tylko panowie pozwolą — płaszcz...

Wyszli do hallu. Tutaj zetknęli się z Maru. Zbladła.

— Co się stało?

— Młody Pruchnicki zniknął razem z żywicą — odparł krótko Karol.

— Ucałował rękę żony.

— Uważaj na Zuzę, niech nie obgryza paznokci — uśmiechnął się gorzko.

Za chwilę zaturkotała bryczka uwożąca mężczyzn.

Maru wróciła do pokoju. Kolana uginały się pod nią: tak nagle i co to wszystko miało znaczyć?

Przy oknie stała Zuza patrząc suchymi oczami za oddalającą się bryczką. Policzki i oczy dziecka płonęły.

— To przez mamę — Mamusia nie dała papie nożyczek i dlatego papę zabrali!

Teraz Maru wybucha łkaniem. Bezsensowne słowa Zuzy kryją prawdę, o której dziecko nie wie. Gdyby ona ujęła się za

Jurkiem wtedy, gdyby Pruchnicki nie pracował w lesie, Karol nie byłby dziś aresztowany...

— Mama pojedzie po papę? — przeciska się przez krtań dziecinny głosik.

Maru kłęcząca przy łóżku, z łkaniem potrząsa głową:

— Tak, pojedzie...

I Maru podnosi się z kolan, bo trzeba jechać, pytać o tego Jurka, szukać dróg dla ratowania męża...

Jurek szedł drogą leśną do przystani.

Będzie miał pół dnia straconego... Więc Statek powinien przybić za godzinę, akurat zdąży na czas. Właściwie sam nie wiedział dlaczego idzie. Lipecka powiedziała mu, żeby przyszedł na przystań... no i co z tego? co z tego? — powtarzał z zaciśniętymi zębami, bo mu się nagle przypomniała jej chłodna i piękna ręka.

Pewnie chce, żebym jej odniósł walizkę — drwił z siebie — tak, oczywiście, żeby jej odnieść bagaże — wykrzywił się, ale czuł, że to nieprawda. Lipecka chciała być z nim sama, tak jak wtedy, gdy ją odprowadzał. Zaczął drzeć na całym cieple, gdy nagle coś jak piorun skręciło mu myśli: a jeśli chciała sobie tylko zakpić z niego i na przystani czeka już na nią Łęgocki z powozem?...

Nie, tego by nie zrobiła — uspokoił się, ale radość w nim zgasała.

Przypomniał mu się Franek i myśli poszły w młynek. Palik uнікаł go, a kiedy przechodzili koło siebie, tarł w zębach obelżywe słowa.

Gdyby posłuchał Franka, miałby ubranie i pieniądze... Łęgocki na pewno robi Lipeckiej prezenty... Mógłby wyjeżdżać co jakiś czas do miasta, poznałby trochę lokale i wzięłyby się do księżek...

Wtedy w lesie śmiała się z niego, że nic nie mówi — o czym ona mogła rozmawiać z Łęgockim?

W tej chwili wydało mi się, że statek musiał już przybić i że on się spóźni. Zaczął biec, gdy nagle na zakręcie ktoś szybko wysunął się z za drzewa i chwycił go za ramię.

— Co ty! puść mnie! — szarpnął się poznając Palikę.

— A gdzie to Jurek? — mówi tamten przez zęby.

— A co to Franka obchodzi?

Palik nagle puszcza Jurka z taką siłą, że ten się zatacza.

— No to leć, leć, bratku, tam już czekają na ciebie!

— Czekają? kto? — Jurkowi przelatuje błyskawicznie myśl, czy Franek nie wie, że on ma się widzieć z Lipecką.

— Patrzcie go, zuch! będzie jeszcze w oczy świecił, że nic nie wie, co się stało!...

Jurka chwytają nagle niepokój.

— Franek, do jasnej cholery, gadaj zaraz!

Palik odwraca głowę:

— Bo to Jurkowi żywicę skradli...

Chłopak stoi jak poronem rażony.

— Łeż! Nieprawda! — krzyczy i rzuca się z podniesioną pięścią. Ale Franek nie rusza się z miejsca.

— Trzeba było dziś rano do roboty iść, a nie włóczyć się, toby ci nikt beczki nie odbił. Brzydziło cię z Palikiem bimber nosić, wolałeś premiówki brać, fotografować i stawać, aż cię w końcu dostało, ty, ty, cholerski żywiczarzu...

Jurek słucha i błędnie, a Franek syczy z nienawiścią, aż mu czerwieniąją żyły na czole.

— Gdzie Jurek idzie — krzyknął ostro, widząc, że Jurek zawraca* w stronę Wilkowiec.

— A co będę stał — wzrusza ramionami Jurek — pojedę, zgłoszę się na posterunek.

Palik przełakł się. Ładna historia... jak Jurek wróci, to wszystko się wyda, a póki go nie ma, to wszyscy myślą, że on ukradł i uciekł z żywicą.

— Pan Jurek to nie ma co na posterunek iść, tam nie będą pytać, tylko od razu kula w łeb za sabotaż. To jest wojna, a nie gadanie i policja już pewnie szuka za Jurkiem.

Chłopiec siada nad rowem i ukrywa twarz w dłoniach. Franek stoi nad nim. Bierze go złość na Jurka. Żeby go raz trzasnął, toby się wszystko skończyło, ale potem nie miałby co robić w Wilkowiecach. Nagle przychodzi mu myśl:

— Jurek teraz nie ma gdzie się podziać, to pojedzie z mną. Tamte batiary co bimber kupują wezmą Jurka do kompanii, krzywdy oni żadnej nie zrobią, tyle że Jurek nauczy się bimber pić — i Franek krzywi nawet wargi w uśmiechu, bo mu ciężar spadł z serca. Jurek wstaje, patrzy prosto w twarz Palika.

— Ja wiem, tyś ukradł moją żywicę.

Franek się cofa, krew mu zalewa oczy, podnosi pięść. Jurek postępuje naprzód, Franek znów cofa się jak pijany. Teraz wie: nie uderzy Jurka, bo nie ma nad nim żadnej mocy, tak jakby mu zwichnęli pięść. Dyszy ciężko.

— Niech pan Jurek lepiej nie krzyczy, bo bym mu musiał buzie zatkać.

Patrzaj obaj na siebie. Wokół nich zrywa się szum sosnowy, wiatr gnie gałęzie. — Pójdiesz do ciotki, powiesz, żem zdrowy, i że nie mogę wracać.

Franek otwiera usta, żeby zakpić z Jurka, a pada z nich, wbrew temu, co Franek chce:

— Powiem...

Teraz patrz na siebie spokojnie. Franek czuje, że Jurek nie jest lajdakiem, że musi z nim gadać jak z człkiem.

— Jurek gdzie teraz pojedzie? — pyta i czeka złośliwie, jak tamten będzie się wykrczał, ale Jurek odpowiada szczerze:

— Chciałbym jechać do Krakowa.

— Złapią zaraz w pociąg — przerywa Franek — nawet nie ma co ludziom pokazywać się na oczy. Jurek lepiej zrobi, jak pojedzie lasem do Smolisk, przejdzie rzekę koło młyna i dalej lasem aż do starej torfiarni. Tam są partyzanty, nasze to chłopaki ze wsi, to Jurek może do nich przystać. Mówili o nich te batiary od bimbru, bo wzięli od nich w portki.

Jurek namyśla się.

— Tak, pojedę do nich...

Teraz stoją obaj w milczeniu, nie wiedząc, co mówić więcej, ale zwlekają z zejściem. Są sami, tylko sosny rdzewieją wokół nich. Jurek nie ma żalu do Franka. Nie powie mu tego, ale Franek uwolnił go od sosen na żywicę. Widocznie nie mogło się to inaczej skończyć, tylko tak... Trochę ciotki mu żal, ale dwór się nią chyba zapiekuje. Teraz patrzy na drogę do przystani i wie, że nigdy nie dojdzie do tego statku, którym ona przyplynie. Franek stanął też i na tej drodze.

— Ano, to ja idę — przerywa wreszcie milczenie.

Franek rusza za nim.

— Może Jurek by chciał...

— Czego? — odwraca się ostro chłopak.

— Może Jurek chce zapalić, to ja mam...

— Nie, nie trzeba mi — odpowiada Jurek opryskliwie.

Idą w milczeniu. Wreszcie chłopiec odwraca się.

— Franek — mówi — i tamten podrywa głowę — Franek, czemu ty do partyzantów nie idziesz? Byłby z ciebie chłop — chce mówić spokojnie, ale głos trochę mu drży — tylko babrzesz się w takim świństwie ze złodziejami...

— Nie mogę teraz, oni pilnują mnie, boją się, żebym ich nie wyspał.

— Teraz Jurek będzie szedł lasem i trzymał się wąwozu aż do rzeki, pamięta Jurek?

— Pamiętam, nie zabłądę — Jurek zsuwa się w wąwóz. Franek patrzy za nim.

— Nie daj się im — woła z dołu chłopiec.

— Niech się Jurek trzyma!

Gałęzie zasłaniają już zupełnie Jurka, ale Franek nie rusza się z miejsca. Nachyla się nad wąwozem i krzyczy:

— Na jesieni, w torfiarni, przyjdę do was!

Z dołu coraz dalszy głos Jurka:

— Pamiętaj, ciotka!

I jeszcze z obu stron:

— Trzymaj się!

Franek podnosi się i rusza do wsi. Jurek bnie wąwozem. Każdy w swoją stronę.

Z napomnień łatwo było wnioskować, że myśli o niej bez przerwy, ale... cicha jakaś umowa przeskądzała o tym mówić. W rozmowie przecież, już na jej wstępie czyhało twarde pytanie: czy żyje?

A p. Zofia Irzykowska 5 października była w Milanówku i wiedziała, że tu, w szpitalu, leży chory ojciec. Cóż... pobyt jej ograniczał się do przejazdu w zamkniętym wagonie transportu kierowanego do Niemiec.

W momentach utraty przytomności leżał zupełnie bez ruchu. Tylko raz jeden w takim właśnie stanie pisał list... do naczelnego lekarza Szpitala. Po powodzi zdań, w których trudno było doszukać się sensu, konkluzja: prosba o wyjęcie nogi z gipsu.

Prośba ta została uwzględniona 1-go listopada. Kość zrosła się źle — to nie miało już jednak żadnego znaczenia.

2-go listopada z rana chory stracił przytomność, by jej już więcej nie odzyskać. Do cierpien poprzednich od kilku dni przylączyły się odleżyny.

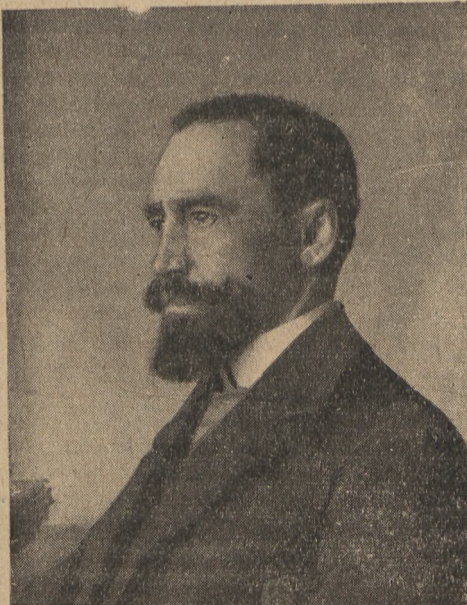
Dzień 2-go listopada splywał w wieczór bardzo powoli. Dr. Mroczkowski zapisał na wspomnienie zastrzyk witaminowy. Recepta była napisana na odwrocie jakiegoś rachunku. Chory dostał to do rąk. Dojrząwszy cyfry badał je długo bardzo uporczywym wzrokiem, aż wreszcie pelen oburzenia zaczął wołać, że to szantaż. Szantaż. Gdzie jest dr. Jankowski. Trzeba go o tym zawiadomić. A później cisza. Ledwie od czasu do czasu zlekka zadrgały wargi.

O godz. 22 minut 50 Karol Irzykowski rozstał się z tym światem.

Nie doczekał wolności, której tak tęsknicie choć spokojnie przez cały czas okupa-

cji wyglądał. Nie doczekał okresu, w którym przewidywał olbrzymie zmiany.

Nie doczekał chwili, w której na innych zasadach zaczął się miało na nowo nasze życie kulturalne. Trzeba było słyszeć, z jaką pasją mówił o czasach, które przyjdą,



Sp. Karol Irzykowski. 25. 1. 1873 — 2. XI. 1944.

by zrozumieć niezachwianą jego wiarę w zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości.

„Kultura ma w płucach mnóstwo zwapnionych komórek“ pisał w „Lżejszym Kalendarzu“.

Jak dobry lekarz, po postawieniu diagnozy, przez całą okupację szukał na to le-

karstwa. Na tajnych wieczorach dawał swoje recepty. Uczestniczyłem w jednym takim zebraniu (u śp. Rity Rey). Irzykowski mówił wówczas o teatrze Polski Jutra. Z żyjących dziś, a obecnych wówczas w gościnnym mieszkaniu na ul. Marszałkowskiej ludzi teatru, chyba tylko Janusz Strachocki mógłby o tym jeszcze coś powiedzieć. Co myślał wówczas o teatrze autor „Słonia wśród porcelany“? Widział go „ogromnym“, przy czym wielkość ta leżała w duchu, a nie w cyfrze kwadratowych metrów sceny, w rotacjach, w reżyserkich trickach. Irzykowski widział wówczas teatr „ogromny“ ilością widzów — to o czym i dziś dużo się mówi, ale tylko mówi...

8 listopada za trumną Irzykowskiego nie wiele osób. Córka. Jarosław Iwaszkiewicz. Rodzina Pawła Hulki - Laskowskiego (on sam tylko przez okno mógł skutkiem choroby zobaczyć kondukt), małżonkowie Marczakowie, którzy wespół z Iwaszkiewiczem pokryli kosztą pogrzebu i kilka innych osób. Trumnę ponieśli na cmentarz przedstawiciele żyrdowskiego nauczycielstwa. W miesiąc po śmierci, 2 grudnia 1944 roku, w Podkowie Leśnej, staraniem Iwaszkiewicza odbyła się skromna, oczywiście nieoficjalna, akademii ku czci Karola Irzykowskiego i Juliusza Kadena Bandrowskiego. Zebranie zainicjowała Zofia Nalkowska, a o autorze „Paluby“ mówił Jan Nepomucen Miller.

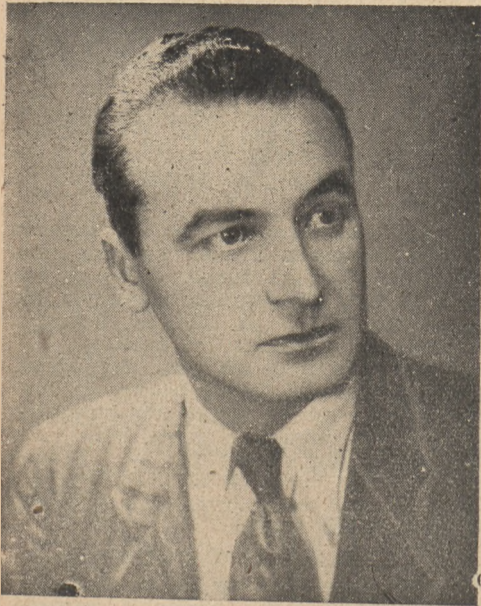
I to jest bodaj wszystko, cośmy do tej pory uczynili dla pamięci olbrzymiego umysłu, dla pamięci człowieka, którego życie całe zbiegło pod hasłem „walki o treść“.

Jakżeż łatwo umiemy zapominać...

Ankieta „Odry“

Pisarze polscy
na Ziemiach
Odzyskanych

Stanisław Telega



1. To jest historia nieco skomplikowana, ten mój wyjazd, a potem osiedlenie się na Zachodzie. Przez długie bowiem lata przed wojną i w czasie okupacji przebywałem z konieczności w mieście, które w dzisiejszej konfiguracji geograficznej leży na „Wschodzie”. Zachód był dla mnie otwarciem drzwi do „wielkiej przygody”. Porzuciwszy więc jeszcze w lipcu ub. r. wygodną posadę w nieszczęsnym grodzie wojewódzkim, dałem na ślepo potężnego nura na Zachód i znalazłem się ku memu własnemu zdumieniu w Zabrze. Zabrze jest niejako dopiero wstępem do Zachodu, ale dalej, niestety, wyruszyć nie mogłem. Czekala mię bowiem promocja doktorska w Krakowie. Zabrze okazało się idealnym punktem, skąd miałem dobry punkt wypadu co jakiś czas do Krakowa, z drugiej zaś strony doskonale miejsce do szabru... książek niemieckich, potrzebnych mi do jednego z egzaminów. Tu w Zabrzu przeżyłem „Zachód śląski” we wszystkich jego fazach, od momentu improwizacji, aż do unormalizowania się stosunków. Wziąłem pierwszą lepszą posadę z brzegu, odległą wprost biegunowo od mojego zawodu i zainteresowań, muszę jednak przyznać się, że opłaciła mi się znakomicie. W biurze bowiem przygotowywałem się do egzaminu, zatapiając strony (krawcy, szewcy, piekarze itp.) ku obojętnej uciechu. Wkrótce rzemieślnicy zabrscy rozgłosili wszem wobec, że w Oddziale Przemysłowym pracuje łagodny wariat, który nie przyjmuje łapówek w formie wódki czy pieniędzy, lecz w formie książek. Zasypanyo mnie wprost książkami we wszystkich językach świata. „Wielkim dniem” mojego urzędowania była chwila, kiedy jak miły Parys rozstrzygnąłem spór trzech zajadle wojujących pań o lokal na pralnię chemiczną, za co jedna ze szczęśliwych bogiń wskazała mi piwnice rozwalonego domu, w których znalazłem trzy nabite paki książek niemieckich, francuskich i angielskich! (rzadkie przyczynki do symbolizmu francuskiego!).

Ten półroczny okres „Zachodu śląskiego”, zakończony zwycięskim doktoratem, był raczej w mym stosunku do Zachodu „przetwórczy” niż twórczy. Przytłoczony pracą i fantastycznie trudnymi warunkami materialnymi, nie miałem nawet czasu na pisarskie ustosunkowanie się do tych czy innych zagadnień zachodnich. Uporawszy się jednak z egzaminami, wyruszyłem natychmiast w styczniu bieżącego roku na najprawdziwszy i „najdziwszy” Zachód, do Szczecina.

2. Półroczny niemal pobyt na Pomorzu Zachodnim poświęciłem głównie wykonaniu prac, które ze sobą przywiózłem, przede wszystkim więc powieści pt. „Osma rano” i monografii o Słowackim. Niemniej jednak od początku pobytu na tej ziemi stwierdziłem, że moje oczekiwania, co do niezwykłości historycznej Pomorza Zachodniego potwierdzają się w zupełności. Świadczy o tym chociażby wydana niedawno powieść Wł. Grabskiego „Saga o Jarlu Broniszu”, poruszająca momenty

Wystawa Sztuki Regionalnej
w Częstochowie

Wystawa zorganizowana przez częstochowskie Muzeum Miejskie stała się tematem dużego zainteresowania zarówno badaczy i miłośników sztuki jak i szerokiego rzesz ludności przepływającej przez Częstochowę.

Znajdujemy tu eksponaty o dużej wartości zabytkowej obok nowoczesnej twórczości związanej z lokalną tematyką. Sztuka regionu częstochowskiego a zwłaszcza samej Częstochowy, rozwijała się (i w dużej mierze rozwija się nadal) pod wpływem Jasnej Góry, która stanowiąc z racji pielgrzymek doskonały rynek zbytu dla przedmiotów kultu religijnego, stała się tym samym siłą atrakcyjną dla tego rodzaju produkcji. Wystawa ukazuje religijną sztukę związaną z Częstochową, i zabytki okolicznych kościołów.

Szczególne cenne są gotyckie figury oraz malowidła skrzydeł ołtarzy szafkowych, pochodzące z XIV i XV wieku zebrane przeważnie z kościołów diecezji przez ks. biskupa Kubinę. Madonna z Dzieciątkiem, św. Anna Samotrzecia, Pieta, Zwiastowanie, Męka Pańska, oraz liczne postacie świętych — oto motyw tych rzeźb i malowideł tak charakterystyczne dla średniowiecza przybierające tylko odmienny wyraz formalny w każdym środowisku.

Wystawą obejmuje w dalszym ciągu pokaz prac konserwatorskich, prowadzonych



Pieta. Rzeźba gotycka z końca XIV w. Ziemia Częstochowska. (Ze zbiorów Ks. Biskupa Kubiny).

historyczne na miarę sienkiewiczowską, choć niestety bez talentu autora trylogii. Świadczą postacie o dramatycznych akcentach dziejowych, jak Kaźko ze Szczecina, wnuk Kazimierza Wilkiego, w którym ten wielki król chciał uosobnić swoją potężną myśl bałtycko-szczecińską. Jak Bogusław X, pragnący w wiek później bezskutecznie tę myśl wskrzesić i przyłączyć Pomorze Zachodnie do Polski. Historia tych ziem obfituje po prostu w momenty nowe, nieznanne, proszące się o pióro dramaturga czy powieściopisarza. Ale na to trzeba czasu i głębszych studiów. Toteż to, co mógłbym u siebie bez zażenowania nazwać „twórczością pomorską”, na razie nie istnieje. Trudno bowiem tak nazwać skromny „obraz historyczny” przerobiony ze słuchowiska dla świetlic i amatorskich teatrzyków pt. „Kaźko ze Szczecina”.

3. Interesuje mnie zagadnienie historyczne, dotyczące słowiańskości Pomorza Zachodniego, a przede wszystkim jego związków z Polską. Z tych dwa szczególnie przykuły moją uwagę. Pierwsza, to tragiczna postać „Kaźka ze Szczecina”, księcia zachodnio-pomorskiego, którego Kazimierz Wielki, jako swego wnuka, mianował następcą swoim w ostatnich latach swego życia, łamiąc układy sukcesyjne z Ludwikiem Węgierskim, aby w ten sposób związać Pomorze z Polską i wbić potężny klin terytorialny pomiędzy Brandenburczyków a Krzyżaków. Postać to godna spopularyzowania nie tylko na gruncie pomorskim. Drugą postacią, która mnie intryguje — to Bogusław X Wielki, książę, którego uczył Długosz, jedyny z książąt, który przeszedł do legendy ludowej.

Temat „Kaźka ze Szczecina” chciałbym ująć w formie dramatu, Bogusława zaś raczej w formie powieści historycznej.

4. Prawo do ziemi zyskuje się daniną krwi i realnym wkładem cywilizacyjno-

przez art. malarza Józefa Ożmina w kaplicy Matki Boskiej na Jasnej Górze. Są to odkryte na sklepieniu kaplicy freski z XVII wieku, które zostały wraz z tynkiem zdjęte i umieszczone w ramach specjalnej konstrukcji (widzimy je na wysta-



Św. Elżbieta, fragment ołtarza 4 dziewic z Bolesławic. Rzeźba gotycka z końca XIV w. (Ze zbiorów Ks. Biskupa Kubiny).

wie) — w celu odsłonięcia głębszej warstwy malowideł wcześniejszych. Owe wcześniejsze malowidła pochodzące może z końca XVI wieku mają nie tylko znaczenie zabytkowe, ale i ogromną wartość artystyczną. Obecnie odnawiane i niedostępne jeszcze dla widzów w oryginale — możemy tu oglądać w dobrych reprodukcjach

Dalej widzimy szereg kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej wykonanych w różnych fazach rekonstrukcji oryginału oraz liczne dowolne jego repliki. Wokół Cudownego Obrazu powstała cała gałąź produkcji małych obrazków, przedstawiających Matkę Boską Jasnogórską, wykonanych na sposób rękodzielniczej techniką półplastyczną, której tajemnicze przechodziły z ojca na syna. Są to ciekawe okazy sztuki rzemieślniczej związanej wyłącznie z Częstochową.

Ostatni dział stanowi próba podniesienia artystycznego poziomu dewocjonalii, które dotąd tandetną brzydota zalewają podjaskogórskie kioski. Tutaj widzimy odlewy gipsowe, projektowane przez art. Z. Trzcinską-Kamińską i artystów fabryki „Czyn”, między innymi Szrajberównę i S. Aniełę Zmartwychwstankę. Są to figurki lub kompozycje płaskorzeźbione polichromowane o treści religijnej, komponowane w duchu sztuki nowoczesnej, oraz formy świątków ludowych dziś zanikających. Wartość artystyczna tych eksponatów jest niejednakowa, w dużej mierze zależy od doboru odpowiedniej polichromii. Istotne znaczenie posiada fakt, że sztuka na tym odcinku weszła wreszcie w nową fazę, a wyniki tych prób rokują jaknajlepsze nadzieje na przyszłość.

Wymienione eksponaty wystawy zwłaszcza zabytkowe ukazując miejscową twórczość artystyczną stanowią ciekawy i niebyłoby jak przystało do badań nad kulturą polską. Cenniejsze z nich zostaną opracowane w specjalnej publikacji. H. C. H.



Św. Anna Samotrzecia (odlew ze starej formy ludowej) oraz Matka Boska Kępska (projekt Szrajberówny). Wykonała fabryka „Czyn”.

kulturalnym. Momenty historyczne stoją na ogół na dalszym planie. Przykładem klasycznym są Stany Zjednoczone, które czerwono-skórą wydarły ich prawa historyczne. To jednak, co stworzyły U. S. A., jest tak bezsporne i wielkie, że daje im pełne prawa do ziemi, bądź co bądź obcych etnicznie. My jednak jesteśmy w szczęśliwszym położeniu. My na te ziemie nie przyszliśmy, lecz tylko powróciliśmy. Dlatego momentu historycznego nie tylko nie możemy lekceważyć, lecz przeciwnie, powinniśmy go tak ujawnić i rozbudować, ażeby pozwolił nam jak najszyciej zapomnieć o świeżości tego powrotu. Polak, który tu przychodzi, musi mieć oparcie o tradycje historyczne tych ziem, musi nasiąknąć słowiańskością, promieniującą tu wszędzie z minionych wieków.

Drugim czynnikiem, który silnie wiąże Ziemię Zachodnią z Macierzą, jest większe niż dotychczas nasilenie tych ziem ośrodkami kultury i że tak powiem, „osadnictwem artystycznym” z Polski centralnej. Pisząc już te słowa, z radością przeczytałem notatkę w prasie, że Departament Literatury planuje „przesiedlenie” literatów na Zachód. Oby stało się to jak najszyciej! Tu ludzie kultury są często potrzebniejsi niż w centralnej Polsce, zwłaszcza w obliczu konferencji pokojowej. Ośrodki kulturalne tworzy człowiek twórczy, a tych jest tu wciąż jeszcze za mało. Państwo powinno premiewać artystów na Zachodzie w jak najszerszym zakresie, np. systemem stypendialnym. Głód kultury jest tu większy niż gdzie indziej w Polsce, a warunki życia są całkowicie niemożliwe. Trzecim wreszcie czynnikiem jest to, co my tu w Szczecinie nazywamy „przybliżeniem sztabów organizacyjnych”. Ośrodki bowiem planowania i kierowania pracami na Ziemiach Odzyskanych znajdują się w przeważającej większości daleko od tych ziem. Przy-

kłady? Proszę: a) Ministerstwo Ziemi Odzyskanych znajduje się — w Warszawie. Czy więc nie należałoby przenieść je bliżej, np. do Poznania, co umożliwiłoby bliższy kontakt z Ziemiemi Odzyskanymi jak i centralnymi władzami w Warszawie? b) Zarząd Główny Polskiego Związku Zachodniego mieści się w Poznaniu. Czy dla celów, które postawiła sobie ta organizacja, nie lepiej nadawałby się siedzibę też Poznań, Czy nie lepsza byłaby Bydgoszcz, lub chociażby dla demonstracji — Szczecin? c) Instytut Zachodni obrał za siedzibę też Poznań, Czy nie lepsza byłaby Bydgoszcz, lub chociażby dla demonstracji — Szczecin? d) Rada Naukowa dla Ziemi Odzyskanych znalazła się aż — w Krakowie, zamiast np. w Poznaniu lub Wrocławiu.

Nie też dziwnego, że na skutek takiego rozlokowania ośrodków dyspozycyjnych dla spraw Ziemi Odzyskanych, często różne problemy Zachodu przedstawiają się dla owych centrów albo jako wielka niewiadoma, albo oceniane są na podstawie bardzo a bardzo przypadkowej.

Innego rodzaju wreszcie czynnikiem, który by spopularyzował Ziemię Odzyskaną w świadomości polskiej, jest urządzenie różnych wielkich zjazdów, wyjeżdżek, uroczystości na tych terenach. Takie np. „Dni Szczecina”, zorganizowane na wiosnę b. r., były niezapomnianym wspomnieniem dla tysięcy ludzi z centrum kraju, z których wielu osiedliło się tu potem już na stałe. Bo kto raz zobaczył czy przeżył choćby na chwilę tę ziemię — wróci do niej urzeczony jej urokiem. Bo to jest ta sama Polska, z której przyjechał, tylko inaczej widziana.

Następną listę składek na Nagrodę Literacką „ODRY” oraz dalszy felieton z cyklu „Co robią Niemcy” zamieścimy w następnym numerze.

Satyry i fraszki

NIEJAKI X: DZIURA W BRZUCHU, Wyd. Awir, Katowice, 1946, str. 104.

STANISŁAW JERZY LEC: SPACER CYNIKA, satyry i fraszki, Spółdz. Wyd. „Czytelnik” 1946, str. 129, okładka i rysunki Henryka Tomaszewskiego.

ARTUR MARIA SWINARSKI: PAMFLETY, PARODIE, PARADOKSY, okładka i ilustracje autora, Wyd. Awir, Katowice, 1946, str. 57+3 nlb.

JÓZEF PRUTKOWSKI: CICHA LIPA, Wyd. Awir, Katowice 1946, str. 62, okładkę projektował Józef Mroczczak.

Felietony satyryczne Niejakiego X miały swoją ustaloną markę u czytelników przedwojennej „Polonii”, mają ją i nadal u czytelników obecnego „Dziennika Zachodniego”. Niejaki X jest felietonistą dowcipnym i inteligentnym, bystrym obserwatorem, dysponującym bogatym materiałem i dużym zasobem wiedzy. Nie stworzył wprawdzie własnego typu felietonu, jak Wiech, który stał się reprezentantem swoistego folkloru warszawskiego przedmieścia, ale w ciągu swojej działalności dał wiele felietonów, zjednujących mu ostrością satyrycznego ujęcia, trafnością w wykpiwaniu różnych nieciekawych przejawów życia społecznego i politycznego — licznych i oddanych czytelników. Mieliśmy niedawno ciekawą próbę jego popularności. Podniesiony przez niego w jednym z felietonów apel o biblioteki dla szkół na dawnym i odzyskanym Śląsku — rozpętał lawinę społecznej ofiarności. Instytucje, firmy i osoby prywatne prześcigały się w fundowaniu bibliotek szkolnych, dzięki czemu przynajmniej kilkadziesiąt szkół otrzymało księgozbiory i opiekunów, którzy zobowiązali się je stale uzupełniać.

Felietony Niejakiego X służą sprawom najzwyczajniejszej codzienności. Przez to aktualność ich szybko przemija. Są one przeważnie dokumentami chwili, ale wiele z nich ratować może od zapomnienia nieśmiertelność głupoty ludzkiej i trwałość niemal konserwatywna form, w jakich głupota ta się przejawia. A głupota ta, zarówno w swoich jaskrawych formach, jak i przedziwnych niuansach, jest zasadniczym celem jego dziennikarskiej satyry. Tytuł „Dziura w brzuchu” ma swój sens. Felietoniście często przychodzi powracać do tych samych i podobnych tematów, często przypomnianiem tego samego musi czytelnikom wiercić tę przysłowiową dziurę.

Dowcip Niejakiego X operuje niespodzianką i zaskoczeniem, nieoczekiwanym skojarzeniem, paradoksem i karykaturalnym przerysowaniem. Przedwojenne jego felietony miały jeszcze jedną cechę — zwartość. Ostatnie są dłuższe, często prze-

ładowane cytatami. Rozsadza je napływający obficie do redakcji materiał, który najczęściej kwalifikuje się do publikacji książkowej. Tam, gdzie felietonista operuje materiałem własnym, gdzie daje upust własnej inwencji, powstają dowcipne i ciekawe humoreski, jak n. p. „Flirt z Melpomeną”, czy „Pan Kaczmarek”. A że nie zaprawia on swojej satyry żółcią, zbiór jego felietonów czyta się z uśmiechem.

Z trzech tomików satyr i fraszek, które się ostatnio ukazały, każdy ma inny charakter. Najobszerniejszy tom Stanisława Jerzego Leca zakrojony jest historycznie, obejmuje bowiem utwory z lat 1936—1939. Artur Marya Swinarski znów daje plon lat dwudziestu, ale doprowadza go do roku 1946. Józef Prutkowski natomiast z trudem pomieścił na kilkudziesięciu stronach to, co napisał w ciągu najwyżej miesiąca. To tylko różnice pobieżne. Są i głębsze, wynikające z postawy poszczególnych satyryków, z ich stosunku do poruszanych tematów. Przede wszystkim tu nie wszędzie możemy a nawet nie wszędzie należy się śmiać. Kto byłby taką uwagą rozczarowany, powinien przeczytać wiersz Leca „O satyrze”. Dlatego na jego wiersz wskazuję, że on właśnie najlepiej reprezentuje tradycję satyry polskiej, która dochodziła do głosu przede wszystkim w okresach upadku, zapowiadała jego zbliżanie się, z pasją piętnowała to wszystko, co do upadku tego nieuchronnie wiodło. Zebrane w „Spacerze cynika” wiersze satyryczne i fraszki pochodzą z lat poprzedzających wielką klęskę nie tylko naszą, narodową, ale i klęskę całej ludzkości. Lec umiał odczuć grozę tych czasów, ukazał ich tragiczny bieg ku katastrofie. Wiersze jego to czerwone sygnały zbliżających się niebezpieczeństw, to z odległości dzisiejszych dni historia rozwijającej się w naszym organizmie choroby, na którą nie umieliśmy znaleźć lekarstwa. Stąd bolesny pesymizm tych wierszy, stąd atmosfera kałastrofizmu, jaka je przesyca. Wiersze jego rzadko wywołują uśmiech, często natomiast zmuszają czytelnika do głębszej rozważki, pobudzając tego trafnością cięć, które rozdziela poeta. Rzecz prosta, że nie wszystkie wiersze uderzają w ten zasadniczy ton zbioru, ton, który Lec zresztą stara się specjalnie wydobyć i podkreślić kilkoma słowami wstępu. Obok ironii tragicznej występuje tu i zwyczajna ironia złośliwa, satyra na rzeczy małe i codzienne, na cenzorów, czełgodynych i nieczłgodnych literatów, na człowieka pocziwego, na rodzinny Lwów i ulubioną Warszawę itd. Zwłaszcza wiele tych drobiazgów znalazło się we fraszkach, które u Leca poza dowcipem cechuje niezawodna niemal epigramatyczna forma. Odznacza-

ją się one też i tym, że na wszelki wypadek nie należy przy nich zapominać o datach powstania.

Na marginesie uzupełniających tom Leca przekładów jedna uwaga. Autorem „Tragicznej historii nr. 2” jest chyba August Heinrich Hoffmann von Fallersleben (1798—1874), profesor uniwersytetu wrocławskiego, historyk i poeta, znany nie tylko z wybujałego patriotyzmu germańskiego, ale i z polakożerczych tendencji i wystąpień, autor hymnu... „Deutschland, Deutschland über alles”. Brzydko się stało, że to nazwisko pojawiło się na kartach książki polskiej, wydanej w r. 1946, i to w towarzystwie takich wierszy, jak „Panowie, to dwudziesty wiek”, „Polska, kraj łowów”, „Życie i śmierć Krzyżaka”.

Niewielki tomik A. M. Swinarskiego zwraca uwagę swoim estetycznym wyglądem. Autor ozdobił go ładną okładką i świetnymi rysunkami, świadczącymi o rozległości jego uzdolnień. Może o tych rysunkach nie mam prawa wypowiadać sądu, ale wydają mi się one równie dobre, jak same „pamflety, parodie i paradoksy”, których stanowią ilustracyjne uzupełnienie. Te satyryczne wiersze Swinarskiego to przede wszystkim dowody dużej kultury literackiej. Cechą ich jest lubiąca się w paradoksalnych ujęciach i sformułowaniach pomysłowość, staranna forma, doskonała konstrukcja, zimna, wyraźliwa, czasem okrutna niemal ironia. Trudno powiedzieć, jaką formą Swinarski operuje lepiej: czy Lafontainowską bajką, czy fraszką i epigramatem, czy dłuższym wierszem satyrycznym. Nawet będąca trawestacją starego bardzo, choć kto wie, czy drukowanego dotychczas kawału „Przypowieść wschodnia”, umieszczona na czele zbioru może dla ponętnego rysunku, ma wszystkie dodatnie cechy pióra tego nie od dziś popularnego satyryka. Swinarski nie ironizuje z pasją, jak Lec, robi to z wyrafinowaniem, odmierzając i cyzelując drobiazgowo chwyt i słowa. Ale wybór z tych dwudziestu lat, choć uważny, wykazuje braki. M. in. nie widać w nim niektórych fraszek drukowanych swego czasu w „Prosto z mostu”, z których niejedna (jak i p. „Lizoń i gryzoń”) nie straciła na aktualności i może stanąć obok „Mydła”, „Przekleństwa Muz” i innych. Współczesność powojenna doszła do głosu w świetnych satyrach „Marzyciel”, „Perpetuum mobile” i „Do Niemców”. Dowcipne są jaskrawe w rysunku parodie Nowaczynskiego, Wittlina, Gałczyńskiego i Nałkowskiej. Swinarskiemu przeszkadza w pisaniu i w celności dowcipu, gdy pozwoli się wytrącić ze spokojnej, zimnej równowagi i wpada w rozdrażnienie. Toteż nie przekonujący jest pamflet na „Odrę”. I nie

nie mówi. Ogólnikowa złośliwość. Znamy lepsze.

Z omawianych trzech tomików satyry poetyckiej najmniej ciekawy jest tomik Józefa Prutkowskiego „Cicha lipa”. Zaskoczyła mu łatwość, z jaką autorowi przychodzi wierszowanie na każdy temat i uleganie tej łatwiznie. Wprawdzie i Prutkowski twierdzi, podobnie jak Lec, że „satyra pisze zawsze krwią”, ale ta krew ma u niego kolor i zapach zwykłego atramentu tym bardziej, że nie starczyłoby jej autorowi na zabarwienie nią choć trochę tego wszystkiego, co cierpliwy atrament sprowadza z jego pióra na cierpliwy papier. W całości zbiorów nie byłby zły, gdyby dokonano staranniejszego wyboru i nie złożono go mechanicznie z wycinków z „Kocyndra” bez ruszenia piórem przy jednym choćby z tych wierszy. W satyrach Prutkowskiego za dużo jest tromtadacji powierzchownych hasełek i gromkich nawoływań. Niezaprzeczony talent satyryczny zatraca się w tych formalnych i treściowych łatwiznach i uproszczeniach.

Zdzisław Hierowski

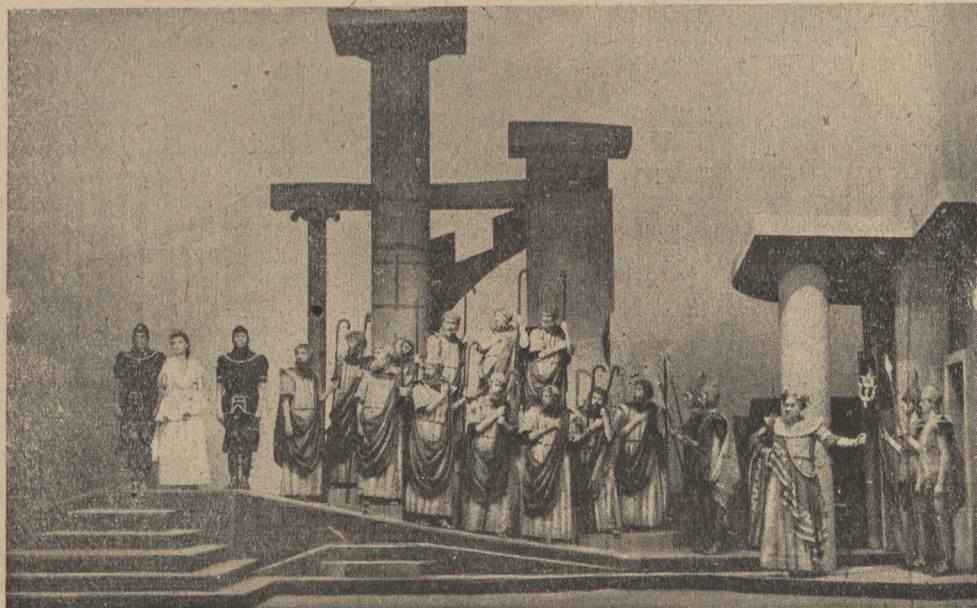
Patrzemy na ekran

Borys Czirkow, młody scenarzysta sowiecki uzyskał w tym roku nagrodę stalinowską za najlepszy scenariusz filmowy. Film, wyprodukowany według tego scenariusza nosi nazwę: „Wielki Przełom” i stał się od pierwszej chwili przedmiotem gorącej dyskusji. Jedni zarzucali mu dziwaczność koncepcji, inni podkreślali zbyt dużą oszczędność wynikającą z tematu. Natomiast ich przeciwnicy wskazywali na nowoczesny śmiały styl pracy Czirkowa, na plastyczne przeprowadzenie niezwykłego tematu o podstawie sowieckiej taktyki i strategii bojowej. Trzeba rzeczywiście przyznać, że dotychczas temat ten był dla filmowców „tabu”, jako, że uważano go za niefilmowy i niefotogeniczny. Czirkowowi jednak wystarczyło kilku sztabowców i paru żołnierzy do tego, by przedstawić tak bogatą skalę i taką dynamikę myśli, że z niej, w oczach widza wynika tajemnicza zasadniczej pomysł. taktyka niemieckiego von Klause i wyższość strategicznych myśli sowieckiego sztabu generalnego.

Twórca scenariusza uzyskał ten wynik umiejętnym podkreśleniem różnic charakterów trzech wyższych oficerów sowieckiego sztabu. General Murawiew to taktyk pierwszej wody „podsiuchający i podglądający” swego przeciwnika. General Winogradow jest zdolnym ale przede wszystkim karnym sztabistą. Trzeci z nich prawem kontrastu jest młodym, stałym wyczącym się do boju dowódcą. Nie brak mu odwagi, ale brak koniecznego statysty — umiaru, to general Kriwenko. Tworzą oni wspólnie dźwięczny, trójtłony akord zwycięstwa które przychodzi po szeregu pełnych napięcia i grozy scen. Zwłaszcza batalistyczne fragmenty, jak zwykle w filmach sowieckich doskonale. Nie w tym jednak leży nowocześnieść koncepcji i śmiałość operowania trudną fakturą nagrodzonego scenarzysty. Chodzi o co innego, o zmniejszenie przeciwnego widza do przemyślenia genezy wszystkich rozgrywających się na ekranie, akcji. Widz jest nie tylko świadkiem wielkich dni Stalingradu, ale wciągnięty jest w nudny na pierwszy rzut oka i mało ciekawy tok przygotowań, pomyślow i efektów strategicznych. Jest niemal cionkiem sztabu. Musi myśleć bez przerwy, musi współdziałać i na tym polega najwikszy triumf Czirkowa. Film ten widzimy w tej chwili na ekranie kinoteatru „Słońce”. Warto pójść, oglądać i podyskutować.

Alba.

„Antygona” i „Warszawianka” w Katowicach



ANTYGONA:

I przyjaciele moi po mnie nie zaplaczą,
po mnie niegodnej,
słońce, co tam wysoko świecisz się i palisz,
nigdy cię już nie zobaczę,
nie dla mnie jest gorący blask twojej pochodni,
nikt się nie żali.

KREON:

Zaprawdę, gdyby tak można bez końca
żalić się, skarżyć, lkać, zamiast umierać,
każdy by taką pieśń śpiewał do słońca.
Bierzcie stąd dziewczę i zamknijcie ją w skale,
tylko nie zwlekać dłużej, nie marudzić,
niechaj tam zginie, albo żyje marnie.



MARIA

(równocześnie śledząc ruchy generała)

Błędnie, — marszczy się. — Zwitek. — Żołnierz, jak być miało,
przynosi raport tylko... i to, co się stało —
już — jakże straszny smutek w oczach niesie!...
To ten pułk, gdzie on był, mundur, co on miał...
Miał...? Co ja myślę? — to plamy, zbroczony —
Ale zwitek różowy, — wstążka była biała —
Boże — jest! Ja, okrutna, cóżem pomyślała — ?

Glossy i notatki

Tydzień Katowic

Przegląd prasy

Równocześnie z niniejszym numerem „Odry” ukazuje się setny numer „ODRODZENIA” które w dniu 1 września br. bez rozgłosu zamknęło dwuletni okres swego istnienia. Powołane do życia 1. IX. 1944 w Lublinie, w lutym 1945 przeniesione do Krakowa, było „Odrodzenie” do połowy tegoż roku jedynym piśmie literackim w odrodzonej Polsce. Czekaliśmy niecierpliwie na ukazanie się każdego numeru, kłębiliśmy, jeśli nie dochodził na czas, czytaliśmy go jednym tchem od deski do deski, czytając sześciolitni głód świeżego słowa polskiego. Wówczas „Odrodzenie” nie tylko było periodykiem literackim, zastępowało także książkę, było namiastką nowych tomów poezji i prozy, które się jeszcze nie ukazały. To była dla pisma wielka szansa i tej szansy „Odrodzenie” nie zmarnowało. W tym początkowym okresie swego istnienia zdobyło sobie przyjaźń i potrafiło ją utrzymać, zdobyło sobie przyjaciół, których większości potrafiło nie stracić. Czytała je nadal kilkudziesięć tysięcy ludzi o bardzo rozległym wachlarzu zapatrywań, co stanowi przedmiot zadośćuczynienia wśród przyjaciół ideowych, zgrupowanych przy innych piśmiech, i jest przyczyną grymasów na „eklektyzm” „Odrodzenia”. Mówi się także o tym tygodniku, że jest ponury i nudny, choć przecież pod tym względem wytrzymuje ze „Szpilkami” konkurencję zupełnie dobrze. Ostatnie próby felietonowania zmierzają prawdopodobnie do osłabienia tych zarzutów, lecz chociaż pismo nieco ożywia, nie potrafią go bynajmniej rozjaśnić. Zresztą ta śmiertelna i godna powaga nie jest wynikiem nieumiejętności redakcyjnych, jest właściwością ludzi, którzy piśmie kują, wynika z programu i tendencji pisma, które przecież uginą się pod ciężarem honorów reprezentacyjnych. Niewątpliwie to samo można by zrobić także inaczej, ale tutaj do solidnej powagi przedwojennych „Szygłów” dolożyli swój wkład nowi współpracownicy, którzy kochają nie w masce Sfinksa i noszą w butach korki, które zaklepują im koturny. Cokolwiek można by jeszcze na ten temat powiedzieć, wszystko da się ująć krótko: „Odrodzenie” można nie lubić, można się na nie dąsać, ale czytać je trzeba. Jest nadal czołowym piśmie literackim w Polsce i tej jego pozycji nikt na razie nie zagrozi.

Z piśmie jest jak z ludźmi. Jedne dochodzą wieku dojrzałości, inne umierają, inne się rodzą. I tak idzie za obna wieść, że przestała wychodzić w Chelmie Lubelskim „KAMENA”, jedyny nasz miesięcznik poetycki, wznowiony po wojnie przez swego twórcę i redaktora Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Ale temu piśmie nie napływa jeszcze epitaforum. Może to tylko chwilowa niemoc, bo duch się tam tkwił zawsze pełen zapału, ale w chuderlawym i anemicznym ciele. Byłoby to już oznaką wyraźną złej pasy na ziemię lubelską, gdyby się sprawdziła wiadomość o likwidacji „ZDRÓJ”, który wprowadził orlimi szlakami nie chadzał, ale miał swoje regionalne, pozytywne ambicje, opierając swoje istnienie na dążeniu do oddziaływania społecznego w kierunku upowzechniania kultury. Było to pismo raczej popularne, ale takich u nas właśnie niewiele i na terenie lubelskim musi je obecnie zastąpić „Świat”, które jednak pracuje inaczej, redagowane jest bez większego wysiłku i spełnia raczej rolę broszurek niż pisma o zakroju społeczno-kulturalnym.

Obżalowaliśmy już także na tym miejscu „Wiatr o d m orza”. A witać, jak na razie, nie specjalnie kogo. Pojawiają się bowiem piśmie, którym nie można wrożyć długiego żywota. Do nich zaliczyć trzeba „PRAWO CZŁOWIEKA” (miesięcznik? tygodnik?), redagowane przez prof. Olgię Górkę a będące organem Ligi do Walki z Rasizmem. Pismo to jest zdecydowanie niepotrzebne, gdyż z góry skazane jest na niewielki krąg czytelników i to na czytelników, którym jest ono zbyt ciężkie, których przekonanie nie trzeba. Bo chyba redakcja nie ludzi się, że będą je prenumerować i czytać antysemitę, żeby dać się przekonać, że trafi ono do tych rąk, które splamiły się zbrodniami w Kielcach czy gdzie indziej. Taką działalność, jaką za cel postawiło sobie „Prawo Człowieka” należy umiejętnie rozłożyć na całą prasę codzienną i periodyczną. Zamiast wydawać własny organ, Liga do Walki z Rasizmem powinna zorganizować biuletyn, zawierający obszerny, poważnie dobrany materiał informacyjny i publicystyczny. Ten biuletyn, wykorzystany przez prasę, miałby o wiele poważniejsze znaczenie. A gdyby chodziło o serwis publicystyczny, to Liga, mając do dyspozycji szereg poważnych piór, może go również bez trudności zorganizować i rozprzestrzenić po piśmiech, traktując je zresztą indywidualnie a nie szablonowo. Warto o tym pomyśleć, bo to chyba racja, skoro pismo, którego pierwszy numer wyszedł 15 września, nie obudziło dotychczas żadnego echa. Nie przypominam sobie, by je gdzieś witano, jako pozytywne i konieczne, by się nim żywiej interesowano. Cel jest piękny, ale metoda błędna.

Młodzi żołnierze Armii Krajowej przystąpili do wydawania własnego organu, który ukazuje się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Plomienie”, będącej instytucją wydawniczą Związku Walki Młodych. Pismo nosi tytuł „POKOLENIE” a od czasu, gdy się po raz pierwszy ukazało, znacznie spadła ilość artykułów i wierszy Romana Bratnego, umieszczanych w prasie polskiej. Ten niezwykle płodny i zapobiegliwy autor jest redaktorem „Pokolenia” i tam się

teraz głównie wyżywa (wiersze, publicystyka, krytyka literacka, dramat...). Dwutygodnik ten (ukazały się trzy numery) skupia kilku młodych literatów, mających za sobą udział w podziemnej walce zbrojnej w szeregach AK. Poza Bratnym pisuje tu Jerzy Piórkowski, Zbigniew Stolarek, Jerzy Pytlakowski, Witold Zaleski, Tadeusz Różewicz. Pismo postawiło sobie za zadanie walkę o prawa i uznanie dla żołnierzy podziemnych i toczy szeroką dyskusję o „amnestii”. Dyskusja ta ma charakter mocno polemiczny, a sama „amnestia” nabiera w niej różnych aspektów. „Pokolenie” stwierdza, że młodzież akowska gubi się w nowej rzeczywistości, że jest od niej oddzielona dystansem, który wytworzył się nie tyle na skutek społeczno-politycznej postawy tej młodzieży, ile na skutek kryzysu jaki została jej wyrządzona przez początkowy stosunek czynników oficjalnych odrodzonej państwa do żołnierzy Armii Krajowej. Jacek Bochencki w dyskusji z Bratnym domaga się amnestii innego rodzaju: „Trzeba amnestii moralnej, — pisze — Trzeba, by dał ją obóz rządzący, bo ten daje, czego do wodojem publikacja artykułu Bratnego, aby dał ją ci z AK. By usunął ze swej świadomości problem „zdrady”, której nie ma. Zdrady, która nie jest zdradą. „Zdrady” własnej i „zdrady” naszej. By udzielił amnestii moralnej sobie i nam. Amnestii, która będzie zrozumieniem braku winy. Będzie uniewinnieniem”. Polemizujący z Bochenckim J. Piórkowski wola nie o amnestii, która jest żołnierzom niepotrzebna, wola o wielką, poważną i szczerą pomoc dla młodzieży z szeregów podziemnej walki z faszysmem, pomoc materialną i opiekę, by nie tulał się, nie głodował, nie musieli iść do lasu lub szabrować, lecz mogli się uczyć i przygotować do życia.

„Pokolenie” jest w tym wszystkim dosyć jednostronne, jednak erunkowe. Ciekaw jestem o czym będą tam pisać, jeśli sprawa amnestii i pomocy zostanie rozwiązana. Będą drukować wspomnienia, wiersze żołnierskie; rozwiązać problemy współczesności? Dobrze, ale ten duch, który panuje w piśmie jest bardzo młodzieńczy, nawiąże bohaterski. Ci młodzi żołnierze w cywilu nabrają manier starych kombatanów, chcących likwidować odcinki od dawnych zasług. Dlatego ich pozytywne i śmiałe dyskusje należy wyprowadzić na szerszą arenę. Oni mają dużo racji. Ale te sprawy wakowane we własnym gronie nigdy nie dojrzają do rozwiązania. A są pilne, palące i fragrantne w swych aspektach i skutkach. Należy „pokolenie” rozróżnić się w tyralierze po poważniejszych piśmiech polskich i niech walczą zwycięsko. Starsi podopieczni je pomoca i radą. Tego im nikt nie odmówi. Bo odmówić nie wolno. Skoda tych ich sił, które marnują na walkę o prawo do życia i przyszłości. Te siły są potrzebne odradzającemu się z upadku państwa.

W rubryce tej notować będziemy przejawy życia kulturalnego Katowic. Objętość rubryki stanowić będzie w pewnym sensie miernik intensywności życia kulturalnego stolicy Górnej Śląska.

Dla przyzłych historyków kultury chcemy zostawić gotowy daruszk kultury naszego miasta. Pierwszy „Tydzień Katowic” obejmie kilka tygodni, zaczniemy bowiem od początku sezonu kulturalnego 1946-7, przycyżmy, dla orientacji, ustaliliśmy tę datę na dzień 1 września br.

TEATR

Państwowy Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego pod dyr. Br. Dąbrowskiego podjął swą działalność po letniej przerwie w dniu 7. IX. wznowieniem komedii Connera „Roxy” z Zofią Wicławówną w roli tytułowej. 15. IX. wznowiono „Dom otwarty” Baluckiego. Obie komedie grane były na zakończenie ubiegłego sezonu. 28. IX. „Mała Scena” za angurowała sezon 46-7 wystawieniem komedii Al. hr. Fredry „Mąż i żona”.

Komedią urozmaicona interludiami A. Polewki zyskała sobie pełne uznanie publiczności. 12. X. odbyło się otwarcie sezonu na dużej scenie. Na inauguracyjne przedstawienie wybrano Sofoklesa „Antygonę” i St. Wyspiańskiego „Warszawiankę”.

Kierownik em literackim reprezentacyjnej sceny śląskiej został na nowy sezon znany pisarz L. H. Morstin.

IMPREZY TEATRALNE

Na scenie Państwowego Teatru Śląskiego kilkakrotnie wystąpiła gościnie Maria Gorczyńska w komedii Fr. Herzega „Niebieski 1”.

28. IX. rozpoczął swą działalność Teatr Ideowo-Artystyczny przy Woj. Domu Kultury. Zespół pod artystycznym kierownictwem Jarosława Micińskiego wystawił w sali Z. Z. K. (ul. Plebiscytowa) sztukę L. Staffa pt. „Wawrzyn”. Zastanawia nas nazwa teatru. Czyżby dla odróżnienia od wszystkich innych teatrów, które nie są ani ideowe, ani artystyczne? Teatr p. Micińskiego ma według zapowiedzi „szukać nowych form”. Chcielibyśmy dodać tu od siebie skromną uwagę, że jest to niebezpieczne zajęcie dla niefachowców.

W pierwszych dniach października wystąpił kilkakrotnie w sali teatru TUR (dawniej „Colosseum”) zespół teatru oświatowego z Gliwic. Wystawiana była sztuka St. Żeromskiego pt. „Uciekła mi przepióreczka”.

ZYCIE MUZYCZNE

Państwowa Filharmonia w Katowicach pod dyrekcją Jana Niewińskiego wznowiła swą działalność w dniu

20. IX. br. koncertem inauguracyjnym w czasie którego orkiestra Filharmonii pod dyrekcją Witolda Krzemińskiego wykonała uweriurę do op. „Halka” Moniuszki, Sinfonietę op. 17 P. Perkowskiego i Tańca Weselne z „Pieśni o Ziemi” R. Palestra. Solista koncertu prof. Bolesław Woytowicz (fortepian) wykonał z towarzyszeniem orkiestry „Fantazję Polską” T. J. Paderewskiego.

4. X. odbył się drugi koncert symfoniczny w ramach którego orkiestra wykonała koncert Brandenburki Nr. 1 f-dur J. S. Bacha i 6-tą symfonię (pastoralną) f-dur op. 68 L. v. Beethovena. Skrzypcy Zdzisław Jahne wykonał z towarzyszeniem orkiestry koncert op. 82 A. Glazunowa. Orkiestrą dyrygował Zbigniew Dymek.

21. IX. Filharmonia Katowicka wystąpiła gościnie w Cieszynie. Orkiestrą dyrygował Witold Krzemiński. Solistą koncertu był Jerzy Drozd (śpiew).

Wznowione zostały również niedzielne koncerty popularne orkiestry Filharmonii Katowickiej 29. IX. Orkiestrą dyrygował W. Krzemiński, solistą był Jan Zelmozer (skrzypce).

13. X. w koncercie poświęconym fragmentom operowym dyrygował Z. Dymek. Solistką była Maria Popowicz (śpiew).

Kontynuowane są poranki orkiestry Polskiego Radia. Odbywają się one każdej niedzieli o godz. 12.00. Wstęp do studia koncertowego dozwolony dla wszystkich.

5. X. w Filharmonii odbył się Koncert-Akademia Wyższego Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych. Orkiestrą Filharmonii dyrygował W. Krzemiński. B. Woytowicz powtórzył Paderewskiego „Fantazję Polską”.

6. X. Wystąpił po raz pierwszy w sali Filharmonii zespół Tea-jazz (teatralny jazz) pod dyrekcją J. Gerta.

21. IX. wznowiła swą działalność Opera Śląska w Bytomiu. Po premierze w Bytomiu zespół operowy gości w niedzielę i wtorki w Katowicach, wystawiając kolejno pozycje zespołowego repertuaru: „Halkę”, „Straszny Dwór”, „Tosca” i „Madame Butterfly”. Z nieopliwnością czekamy na zapowiedzianą „Carmen”.

11. X. w ramach wieczoru literacko-muzycznego (sala Filharmonii) urządzono staraniem Ligi Kobiet występ piosenkarki Marii Kulejowej z recitale Chopinowskim. Wykonała m. in. Fantazję f-moll i scherzo b-moll. Organizatorzy zapytali wieczór „A kiedy walczy Warszawa...”.

W konkursie kompozytorskim krakowskiego czasopisma „Ruch muzyczny” na melodię do hymnu St. Wyspiańskiego „Veni Creator” prof. Bolesław Woytowicz (Katowice) otrzymał jedną z trzech równorzędnych nagród.

ZYCIE LITERACKIE

3. X. Związek Zawodowy Literatów Polskich urządził wieczór poświęcony poezji francuskiej. Własne przekłady poezji francuskiej czytała Anna Ludwika Czerna.

We wrześniu ukazała się wydana przez Instytut Śląski antologia poezji i pieśni pt. „Śląsk walczy” w opracowaniu Zdzisława Hierowskiego. „Zamiar” tej antologii — pisze we wstępie Hierowski — jest ukazać Śląsk walczy w historycznej kolei zdarzeń w utworach jego poetów”.

30. IX. Klub literacki wznowił swoje poniedziałkowe wieczory klubowe. W ramach pierwszego wieczoru prelekcję pt. „Kulturalna odbudowa odzyskanego Śląska” wygłosił mgr. Z. Hierowski. Po odczytaniu w krótkiej rewii najnowszej poezji śląskiej, wystąpili z własnymi utworami J. Baranowicz, A. Baumgardten i W. Szewczyk.

Drugi wieczór (7. X.) poświęcony był J. Kasprzycowi z okazji dwudziestego rocznicy śmierci tego poety. Po odczytaniu K. Jachymaka pt. „Kasprzyc — człowiek i twórca”, członkowie zespołu rapsodycznego Klubu recytowali fragmenty twórczości autora „Księgi ubogich”. W części koncertowej piosenka Maria Kulejowa wykonała kilka utworów Chopina i Szymanowskiego.

Trzeci wieczór (14. X.) poświęcony zagadnieniom teatralnym. Na program złożyły się: prelekcja M. Markowskiego pt. „Wstęp do poznania teatru” i dyskusja. Klub Literacki rozpoczął swój sezon pod dobrymi auspjciami. Rosnie liczba zwolenników tych wieczorów — sala Instytutu Śląskiego może się wkrótce okazać za małą na te imprezy.

7. X. w Wojewódzkim Domu Kultury odbył się wieczór literacki poświęcony poezji żyłowskiej.

11. X. we wspomnianej na innym miejscu amnrezie „A kiedy walczy Warszawa” wystąpiła Alina Nitsch-Urbaczykowska z recytacjami utworów Norwida, Broniewskiego, Gałczyńskiego i innych.

OSWIATA — SZKOLNICTWO

2. IX. Początek zajęć w szkołach powszechnych, średnich i zawodowych.

15. IX. Nastąpiło otwarcie roku szkolnego w Szkole Tańca Tacjanny Wysockiej. Szkoła mieści się w Wojewódzkim Domu Kultury.

16. IX. Nastąpiło otwarcie roku szkolnego w Towarzystwie Uniwersytetów Robotniczych.

17. IX. Polkie Radio wznowiło audycje szkolne, które odbywają się we wtorki i soboty w czasie od 9.00 do 9.40.

20. IX. Odbyła się staraniem Zarządu Zw. Zawodowego Literatów Polskich w Katowicach konferencja członków Związku z profesorami języka polskiego ze wszystkich szkół katowickich. Celem konferencji było uzgodnienie współpracy i przygotowanie programu dla imprez, które Z. Z. L. P. ma zamiar urządzać w szkołach.

29. IX. Odbyło się połączone z uroczystością 10-lecia istnienia Zakładu, otwarcie roku akademickiego 1946-7 na Wyższym Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych. W uroczystości wzięł udział premier Rządu Jedności Narodowej ob. Osóbka-Morawski. Wykład inauguracyjny pt. „Obecne możliwości rozwoju gospodarczego Polski” wygłosił dr. Wrzosek.

1. X. Uruchomiono w Wojewódzkim Domu Kultury Kino Oświatowe. Spektakle odbywają się codziennie o godz. 18. Wyświetlane są filmy z dziedziny techniki, przyrody i krajoznawstwa.

2. X. Rozpoczął się zajęć na Kursie Przygotowawczym do roku zerowego w Wyższym Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych.

17. X. Odbyła się inauguracja roku akademickiego w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej.

Opracował M. M.

1) Jest to pierwszy sezon Teatru Śląskiego po upaństwowieniu.
2) Patrz recenzja Z. Hierowskiego w „Odrze” Nr. 35/46.
3) Patrz recenzja B. Butrycznika w „Odrze” Nr. 37/46.
4) Patrz „Życie muzyczne”.

Redaguje k. mitet. Redaktor naczelny: Wilhelm Szewczyk. Adres redakcji: Katowice, 9 Maja 36a (II p.), tel. 925-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik”, ul. 3 Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Katowice, 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydaw. „Czytelnik”. R 20133

Dnia 1. XI. 46 otwiera się

Kurs Katechetyczny sześciomiesięczny

dla osób posiadających średnie wykształcenie.

Absolwenci kursu zdobywają prawo nauczania religii w szkołach. Internat na miejscu, opłata 200, dla niezamożnych bezpłatny. Zapisy do dnia 25. X br. Chylce ul. Mickiewicza 28, k. Warszawy pocz. Skolimów. (88)

ZATRUDNIENIE w ZAKŁADACH PRZEMYSŁOWYCH podległych MINISTERSTWU PRZEMYSŁU na ZIEMIACH ODZYSKANYCH

POLACY		NIEMCY	
14.008	59.232	29.195	57.318
1-X-1945			
POLACY		NIEMCY	
57.065	55.270	79.358	53.856
1-II-1946			
POLACY		NIEMCY	
110.508	53.288	126.283	54.888
1-IV-1946			
POLACY		NIEMCY	
155.434	44.050	169.421	40.534
1-VII-1946			
POLACY		NIEMCY	
110.508	53.288	126.283	54.888
1-IV-1946			
POLACY		NIEMCY	
155.434	44.050	169.421	40.534
1-VII-1946			
POLACY		NIEMCY	
14.008	59.232	29.195	57.318
1-X-1945			
POLACY		NIEMCY	
57.065	55.270	79.358	53.856
1-II-1946			
POLACY		NIEMCY	
110.508	53.288	126.283	54.888
1-IV-1946			
POLACY		NIEMCY	
155.434	44.050	169.421	40.534
1-VII-1946			
POLACY		NIEMCY	
14.008	59.232	29.195	57.318
1-X-1945			
POLACY		NIEMCY	
57.065	55.270	79.358	53.856
1-II-1946			
POLACY		NIEMCY	
110.508	53.288	126.283	54.888
1-IV-1946			
POLACY		NIEMCY	
155.434	44.050	169.421	40.534
1-VII-1946			
POLACY		NIEMCY	
14.008	59.232	29.195	57.318
1-X-1945			
POLACY		NIEMCY	
57.065	55.270	79.358	53.856
1-II-1946			
POLACY		NIEMCY	
110.508	53.288	126.283	54.888
1-IV-1946			
POLACY		NIEMCY	
155.434	44.050	169.421	40.534
1-VII-1946			

Sprzykrzył ci się kolor sukienki, przefarbuń tylko najlepszym i najtrwałszym barwnikiem

»ORION«

otrzymasz w drogeriach i składach farb.

SKŁADNICA FABRYCZNA:
Katowice, ulica Starowiejska nr 3
Tel. 354-64 (89)

Główna Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce

ZBURZENIE WARSZAWY

Zeznania generałów niemieckich przed prokuratorem Rzecypospolitej, Jerzy Sawickim.

Żądać we wszystkich księgarniach. (87)